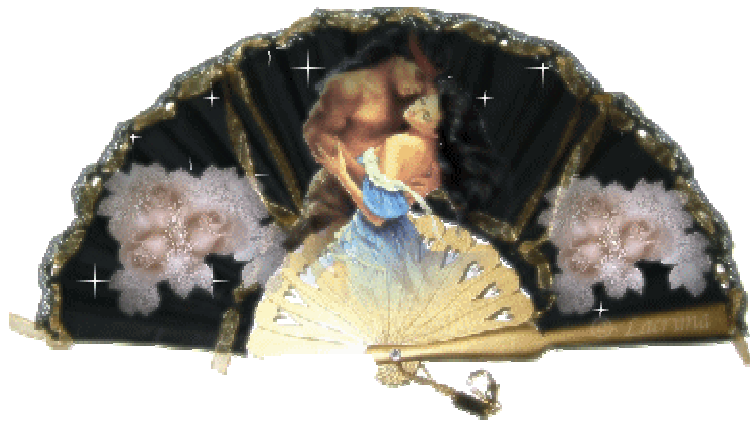




Margaret Moore



Pociecha i radość

ROZDZIAŁ PIERWSZY

20 grudnia 1860 roku

Llanwyllan, Walia

Ależ, panno Davies!

Młodziutka służąca, zaniepokojona nie na żarty, przycisnęła spracowane dłonie do serca.

- Pani chce iść tam sama?! Do tego człowieka?!

- Oczywiście - oświadczyła stanowczo panna Gwen Davies, zajęta poprawianiem brązowego kapelusza, pozbawionego jakichkolwiek ozdób. - Nie taki diabeł straszny, jak go malują. Jestem pewna, że hrabia Griffin Rhyss wcale nie jest taki zły.

- Nieprawda, proszę pani! On jest zły! Po tym wypadku zamknął się w swoim zamku i nikogo do siebie nie wpuszcza. I sam też stamtąd nie wychodzi.

- A ja słyszałam, Molly, że hrabia robi sobie konne przejażdżki, poza tym ma gospodynię, która co sobotę schodzi do wioski. W zamku mieszka ponadto jeszcze jakiś mężczyzna, najęty do różnych robót. Hrabia wcale nie żyje jak pustelnik, a że stroni od obcych... Nie dziwię się, że człowiek, oszepecony straszliwymi bliznami, nie kwapi się, by oglądali go inni i zadawali niemądre pytania!

- Ale on jest niebezpieczny! Pamięta pani, jak to było, kiedy ludzie poszli prosić go o datek na cele dobroczynne? Hrabia zagroził im strzelbą!

Gwen westchnęła. Zawsze starała się puszczać mimo uszu te podawane sobie z ust do ust mrożące krew w żyłach opowieści o straszliwym hrabim.

- Nie wierzę, Molly. Na pewno dużo w tym przesady.

- Wcale nie, panno Davies! Ja wtedy pracowałam w gospodzie i słyszałam, jak ludzie sobie o tym opowiadali. Hrabia chwycił za

strzelbę i powiedział, że mają natychmiast się wynosić, bo inaczej powystrzela ich jak kaczki!

- W takim razie, jeśli hrabia chwyci za strzelbę, natychmiast wezmę nogi za pas. Obiecuję ci to, Molly - rzuciła Gwen żartobliwie, choć odczuła w sercu lekki niepokój. Bo jakby na to nie patrzeć, opowieści o tym człowieku wcale nie brzmiały zachęcająco, zwłaszcza dla kogoś, kto wybierał się do niego z wizytą.

- A poza tym zanosi się na śnieżycę, panno Davies! Jeszcze pani, nie daj Boże, wpadnie do jakiejś zasy i nieszczęście gotowe!

Gwen spojrzała w okno, za którym widać było niewielki dziedziniec i fragment muru, okalającego całą posesję. Mur był bardzo wysoki, jako że w szarym kamiennym budynku, zanim utworzono tu sierociniec, mieścił się kiedyś zakład poprawczy dla młodocianych przestępców. Za tym wysokim murem jednak widać było ogromne skaliste góry Walii. Szare, ciężkie chmury nad szczytami gór nie wróżyły nic dobrego, tym niemniej panna Davies nie miała zamiaru dać się zastraszyć odrobiną śniegu.

- Wątpię, Molly, czy po raz drugi będę miała sposobność wybrać się przed świętami do Rhyss Hall, przecież święta już za cztery dni. A poza tym na herbatę hrabia mnie nie zaprosi, nie ma co się łudzić. Na pewno wrócę, zanim pierwsze płatki śniegu spadną na ziemię. A gdyby jednak rzeczywiście się rozpadało, zawsze mogę schronić się na farmie Denhallowów, to przecież po drodze.

- Ale jakże pani dojdzie do tego zamku? Droga jest w okropnym stanie, po zeszłorocznej powodzi hrabia wcale o nią nie zadbał. Panno Davies, proszę, niech się pani jeszcze raz zastanowi! Ludzie gadają, że hrabia stał się dziwakiem, podobno jest coraz bardziej porywczy....

- Poradzę sobie, Molly - przerwała Gwen, zdecydowana położyć kres utyskiwaniom służącej. - Byłam przecież na Krymie i skoro przetrwałam te wszystkie okropności pod Bałakławą, dam sobie radę z jednym zdziwaczałym arystokratą. Jeśli okaże się grubianinem, to trudno. Nie będzie pierwszym mężczyzną, który okazał się wobec mnie niedelikatny, podejrzewam również, że nie

ostatnim.

Jeszcze raz spojrzała w lustro i upewniwszy się, że wygląda schludnie oraz reprezentacyjnie, nałożyła jeszcze tylko grube wełniane rękawiczki i ruszyła w drogę.

Gwen, owinięta szczelnie cienką szarą peleryną, ostrożnie stawiała kroki po czymś nierównym i błotnistym, co niegdyś było całkiem przyzwoitą drogą, póki hrabia jej nie zaniedbał. Droga ta wiodła w górę, potem na szczęście już nie, ponieważ hrabiowie z rodu Rhyss uwili swoje rodzinne gniazdo na wielkim płaskowyżu, wznoszącym się nad doliną. Gwen słyszała, że w tym miejscu zbudowano zamek już za czasów Normanów, jednak po tym starym zamku nie pozostał żaden ślad. Z drugiej strony, za płaskowyżem, widać było niewielką kotlinę, za którą wznosiła się wysoka góra. Na zboczu góry kilku farmerów miało swoje gospodarstwa, większość jednak domostw miejscowej ludności skupiło się poniżej hrabiowskiej posiadłości.

Widać już było stary kamienny mur, w murze bramę kutą w żelazie, ozdobioną hrabiowskim herbem, na którym widniał walijski smok i lew. Przy każdym silniejszym podmuchu wiatru brama wydawała z siebie żałosny, przeraźliwy jęk, równie żałośnie skrzypiały drzewa, rosnące z rzadka wzdłuż drogi. Gwen, starając się nie przewrócić w błotnistych koleinach, dotarła do bramy i przyłożywszy twarz do grubych żelaznych prętów, spojrzała nieufnie na domostwo widniejące u wylotu drogi dojazdowej. Był to stary dom, pamiętający zapewne jeszcze czasy Tudorów, z surowego szarego kamienia i z masywnym portykiem, osłaniającym drzwi. Sprawiał wrażenie opustoszałego, w żadnym z wysokich okien nie paliło się światło. Gwen jednak nie po to przebyła długą i uciążliwą drogę, aby teraz zrejterować. Znajdowała się bowiem w położeniu rozpaczliwym. Miała tylko dwa funty, a to stanowczo za mało na podarki dla tych małych sierot i na kilka lepszych potraw na świąteczny stół. Te biedne dzieci zasłużyły sobie na to i Gwen nigdy by sobie nie wybaczyła, gdyby poniechała swojej misji z powodu odpychającego wyglądu rezydencji czy pogłosek o wybuchowym

charakterze jej właściciela.

Rozejrzała się dookoła, szukając czegoś w rodzaju stróżówki lub po prostu jakiejś żywej duszy, która mogłaby zaanonsować ją panu domu. Nikogo takiego nie dojrzała, pchnęła więc lekko bramę, która ku jej zdumieniu ustąpiła bez najmniejszego oporu, i rączym krokiem podążyła drogą podjazdową. Kiedy podchodziła już pod dom, w jednym z okien na parterze dojrzała światło. Po chwili za szybą ukazała się wysoka barczysta męska sylwetka. Gwen uprzejmie uniosła rękę na powitanie, mężczyzna natychmiast cofnął się w głąb pokoju i zasunął zasłony.

- Och, dziękuję - mruknęła zjadliwie. - Panu też życzę wesołych świąt...

Jeśli to był zapalczywy hrabia we własnej osobie, jego zachowanie nie wróżyło nic dobrego. Pozostawała tylko nadzieja, że nie pobiegł teraz po swoją strzelbę.

Gwen nie na darmo jednak udało się przeżyć wojnę krymską, a przedtem, bez ulegania panice, poradziła sobie w wielu trudnych sytuacjach. Gdyby było inaczej, nie zostałaby pielęgniarzką i rzuciwszy tylko jedno spojrzenie na przesiąknięte krwią nabrzeże w Bałakławie, uciekałaby w te pędy z Krymu.

Naturalnie, że została. Wtedy potrzebna była rannym. A teraz potrzebują jej osierocone dzieci.

Pomaszerowała do solidnych dębowych drzwi o niebywałych wręcz rozmiarach i energicznie zastukała kołatką, równie gigantyczną, zwisającą z pyska końskiego łba z żelaza.

Drzwi otwarły się, ukazując jej oczom na szczęście nie rozjątrzonego hrabiego ze strzelbą, lecz niewiastę. Starszą panią o twarzy pomarszczonej jak jabłuszko i bystrych, czarnych oczach. Czepek i fartuszek pod względem białości mogły śmiało konkurować z płatkami śniegu, który nie zdążył jeszcze opaść na ziemię.

- Najmocniej przepraszam, że zjawiam się tu tak nagle, bez zaproszenia - odezwała się Gwen, okraszając wypowiedź miłym uśmiechem. - Jestem Gwendolyn Davies z Sierocińca Świętej Brygidy w Llanwyllan. Chciałabym bardzo, jeśli wolno, zobaczyć się z panem

hrabią.

Starsza pani uśmiechnęła się także uprzejmie, niestety, tylko przelotnie, bo zaraz jednak twarz jej sposepniała.

- Pan hrabia... - bąknęła i rzuciła trwożliwe spojrzenie przez ramię - pan hrabia dziś nie przyjmuje.

- Och... - westchnęła ze współczuciem Gwen, przekraczając próg. - Mam nadzieję, że pan hrabia nie jest chory. Ale jeśli, nie daj Boże, niedomaga, mogę okazać się pomocna. Jestem pielęgniarką z dużym doświadczeniem.

- Nie, nie, proszę pani. Pan hrabia czuje się wyśmienicie. On tylko... - znów trwożliwe spojrzenie poza siebie - on nie lubi gości.

W czasie tej rozmowy Gwen zdołała pewnym krokiem przemierzyć sień i wkroczyć do holu. Tu posadzka była marmurowa i czyścusięńka, bez jednej plamki, a ściany wyłożone były dębową boazerią, pociemniałą od upływu lat. Na ścianach wisiała stara broń. Kilka pik, miecze i tarcze, pamiętające chyba jeszcze czasy średniowiecza. Przy podeście szerokich schodów, wiodących na piętro, zawieszono na stojaku kompletną zbroję średniowiecznego rycerza.

Z holu odchodziły dwa korytarze, jeden w lewo, drugi ciągnął się w kierunku idealnie przeciwnym.

- Nie przybyłam tu z wizytą - wyjaśniła Gwen. - Zbliżają się święta Bożego Narodzenia, jestem pewna, że pan hrabia będzie skłonny...

- Pani Jones! - Głęboki, mocny głos przetoczył się przez korytarz z prawej strony. Oczywiście! Przecież to w tamtej stronie musi być pokój, w oknie którego Gwen dostrzegła światło. - Proszę natychmiast usunąć tę osobę z mojego domu! Nie dostanie ode mnie nawet pół pensa!

Starsza kobieta poczerwieniała. Widać było, że jest jej bardzo nieprzyjemnie.

- Proszę wybaczyć - odezwała się półgłosem - ale naprawdę lepiej, żeby pani stąd poszła. Pan hrabia dziś cały dzień jest w fatalnym nastroju. Właśnie z powodu świąt. Tak je kochał! On

zawsze, proszę pani, był skory do zabawy. Przyjęcia, wspólne śpiewanie, gry, wszelkie uroczystości... Och! On wtedy był w swoim żywiole! A teraz pozostały mu tylko wspomnienia... Ale poza tym pan hrabia jest naprawdę bardzo zajęty... pisze, kończy swoją książkę...

Wiadomość o literackich ambicjach hrabiego, owszem, wywarła korzystne wrażenie na Gwen, która ponadto szczerze współczuła mu w jego nieszczęściu. Nic jednak nie usprawiedliwiało jego grubiańskiego zachowania.

- Pani Jones, czy byłaby pani tak łaskawa przekazać panu hrabiemu, że jestem przełożoną Sierocińca Świętej Brygidy?

W korytarzu z prawej strony skrzypnęły drzwi, snop światła sięgnął mrocznego holu. Na świetlistej ścieżce korytarza pojawił się rosyły mężczyzna z długimi, potarganymi włosami, sięgającymi ramion.

- Pani Jones! Czy będzie pani tak łaskawa i wyprosi tę kobietę, czy mam zrobić to osobiście?!

Bacne oko Gwen dostrzegło, że hrabia nie ma przy sobie broni, a więc nie było powodu powstrzymać się od dalszych poczynań. Nie wahała się. Wyprostowała ramiona i krokiem niemal marszowym ruszyła do wyznaczonego celu, czyli do hrabiego stojącego na świetlistej ścieżce. Za nią dreptała gospodyni, pobekując cichutko jak przestraszona owieczka:

- Ojej... O, Boże... niech pani tego nie robi... niech pani się powstrzyma... On jest...

Pobekiwanie gospodyni nie zdało się na nic, Gwen zdecydowana była zrobić wszystko, aby hrabia przynajmniej jej wysłuchał.

- Milordzie, jeśli łaska! Nie zabiorę panu wiele drogiego czasu, dosłownie chwilę. Chciałam tylko powiedzieć, że zbliżają się święta i przyszłam tutaj...

- Wiem aż za dobrze, po co pani przyszła! I mówię z góry: nie! Drzwi trzasnęły. Mężczyzna znikł.

Gwen zawahała się, ale tylko na moment. Może ów grubianin jest i hrabią, ale nawet ze strony takiej osoby należało się Gwen choć minimum uprzejmości. A przede wszystkim ona doskonale mogła

sobie wybrazić smutne twarzyczki dzieci, gorzko rozczarowanych świątecznego poranka.

Doszła do drzwi, spod których sączyło się światło, otworzyła je i ze zdumienia omal nie otworzyła ust. Takiego pokoju jeszcze nigdy w swoim życiu nie oglądała. Dokładniej - takiego bałaganu. Wyglądało tu tak, jakby podczas największej wichury ktoś zostawił wszystkie okna otwarte. Po całym pokoju porozrzucone były książki i jakieś papierzyska. Białe biurko, oświetlonego jedyną w tym pokoju lampą, zasłany był manuskryptami, poznaczonymi mnóstwem przekreśleń, poprawek i notatek na marginesie. Pod ścianami stały szafy pełne książek, na szafach leżały hełmy różnej wielkości i kształtu, a o biurko oparty był miecz, wielki i z jednej strony porządnie wyszczerbiony.

Najbardziej jednak deprymujący obiekt, czyli hrabia, stał przed kominkiem, a wyraz jego oblicza zdradzał największe wzburzenie. Głowa uniesiona była dumnie, ramiona skrzyżowane na piersi, jednym słowem - pan i władca, chociaż odziany jak prosty farmer, w zwykłe wełniane spodnie, białą koszulę bez kołnierzyka, wełnianą kamizelkę i ciemny żakiet. Ale koperta zegarka, wyzierająca z kieszonki kamizelki, była ze szczerego złota, tak samo jak połyskująca w blasku ognia dewizka.

Równie widoczna w blasku ognia była blizna, zajmująca prawie całą lewą stronę twarzy. Blizna straszliwa, ale nie przeraziła Gwen. Ona nieraz oglądała jeszcze gorsze spustoszenia na ludzkiej twarzy. Ta blizna przynajmniej nie naruszyła oczodołu, choć ucho na pewno było zniekształcone i dlatego hrabia tak starannie ukrywał je pod długimi włosami.

Na progu stanęła pani Jones, z trudem łapiąc powietrze.

- Milordzie, ja naprawdę się starałam...

- Słyszałem - rzucił szorstko. - Może pani odejść, pani Jones.

Sam porozmawiam z tą osobą.

Ku zdumieniu Gwen, pani Jones wcale nie umknęła skruszona, tylko spojrzawszy na hrabiego z przyganą, jak na krnąbrne dziecko, dygnęła i oznajmiła:

- Podam herbatę.

- Nie trzeba żadnej herbaty - burknął hrabia. - Zadzwoń na panią, pani Jones, kiedy ta zuchwała kobieta będzie wreszcie zabierała się do odejścia. A to, jak sądzę, nastąpi niebawem!

Pani Jones skwapliwie skinęła głową i wyszła, a Gwen zdecydowała, że nadeszła pora znów otworzyć usta.

- Milordzie, proszę wybaczyć, że zakłóciłam pański spokój...

- A fakt, że zrobiła to pani.

A drugi fakt, to ten, że niezależnie od oczywistych powodów hrabiego do braku pogody ducha, wytrzymałość Gwen miała pewne granice. Czuła, że do tych granic właśnie się zbliża, czyli jest o krok od stracenia panowania nad sobą.

- Jeśli sądzi pan, że zrazi mnie swoim ostrym językiem, to się grubo myli. W swoim czasie słyszałam o wiele bardziej obcesowe wypowiedzi! I bardzo proszę, aby pan raczył mnie wysłuchać.

Nazywam się Gwendolyn Davies i przychodzę...

- Po pieniądze, oczywiście!

Hrabia zmierzył ją od stóp do głów bardzo chłodnym wzrokiem.

- Na początku podejrzewałem, że jest pani jeszcze jednym szarlatanem. Zjawiają się tu co jakiś czas i serwują mi wydumane historie o swoich rzekomo nadzwyczajnych dziełach, a tak naprawdę próbują mnie ograbić. Przychodzą też damy, które z okazji świąt raptem zapragnęły zostać dobrymi wrózkami. Pani na taką damę nie wygląda, przeczy temu strój... wyjątkowo szpetny. Konkludując więc, musi pani być jedną z tych kobiet, które po bezowocnych próbach zdobycia męża zapełniają sobie czas działalnością charytatywną. Stąd pani nadzwyczajna zuchwałość. I teraz prawdopodobnie zamierza pani wygłosić mi kazanie o możliwości zbawienia nieśmiertelnej duszy w radosnym okresie narodzin Pana. A tego może pani sobie zaoszczędzić!

Hrabia na moment przerwał swoją tyradę i efektownym gestem wskazał na drzwi.

- Na poganach takie kazanie nie robi żadnego wrażenia, panno Davies! A ja właśnie jestem jednym z nich!

- Niestety, milordzie, myli się pan. Los pańskiej duszy jest mi całkowicie obojętny - oznajmiła rezolutnie Gwen. - Poza tym kres pańskiego życia nie wydaje się być taki bliski. Zbliżają się natomiast święta Bożego Narodzenia, a w tym czasie zdecydowana większość ludzi majątnych uzmysławia sobie, że powinna być wdzięczna losowi za swoją fortunę i skłonna jest ponadto podzielić się z tymi, którym w życiu poszczęściło się o wiele mniej. Miałam nadzieję, że pan do tej większości należy i przekaże łaskawie datek na kilka podarków i świątecznych smakołyków dla walijskich dzieci z sierocińca w Llanwyllan, w którym jestem przełożoną.

Hrabia, nieco utykając, obszedł biurko. Dopiero teraz zauważyła, że ma również kłopot z nogą. Starał się to ukryć, tak samo, jak pokieroszowane ucho i twarz, co chwila bezwiednie zaczesując włosy do przodu.

- Niepojęte... - sarknął gniewnie, sadowiąc się za biurkiem. - Tak aroganckiej i namolnej niewiasty w życiu jeszcze nie spotkałem! I dziwię się pani, panno Davies. Święta Bożego Narodzenia nie są niespodzianką, zdarzają się co rok. Powinna pani wcześniej zaplanować swoje wydatki, a nie w ostatniej chwili prosić obcą osobę o pomoc.

- Zaplanowałam, panie hrabio. Nie przewidziałam jednak konieczności kupna nowego komina ani niespodziewanego przybycia czwórki nowych dzieci. Nie zaplanowałam też śmierci naszego najważniejszego dobroczyńcy. Pieniądze, przeznaczone na święta, zmuszona byłam wydać na inny cel.

- Dlatego zebrała się pani na odwagę i przyszła błagać o pomoc hrabiego Griffina Rhyssa?

- Przyszłam zapytać pewnego majątnego dżentelmena, czy nie będzie skłonny nam pomóc. Nie prosimy o wiele, milordzie, tylko o skromny datek na podarki dla dzieci i gęś na świąteczny stół.

- A ile jest tych dzieci?

- Pięćdziesiąt.

- Pięćdziesiąt?!

- Tak. Ale te dzieci od Świętego Mikołaja nie oczekują zbyt

wiele. Pomarańczy albo cukierków, niczego więcej. Kwota, o którą proszę, dla pana będzie sumką niewielką, a dla dzieci.... Milordzie, ja nawet nie potrafię sobie wyobrazić, jak to będzie, jeśli one niczego nie dostaną na Gwiazdkę!

- No cóż... Trzeba przyznać, że jest pani biegła w poruszaniu ludzkich serc, panno Davies! Zgoda, przekażę pani pewną sumkę na sieroty, chorych czy starców, na kogo tam pani chce, byleby tylko pani wreszcie stąd się wyniosła!

Hrabia, wydawszy z siebie cichy pomruk, przypominający stłumione przekleństwo, otworzył z trzaskiem szufladę w biurku i zaczął w niej gwałtownie czegoś szukać.

- A tak gwoli ścisłości, panno Davies - rzucił przez ramię - to ja wcale nie skąpię pieniędzy na cele dobroczynne. Zajmuje się tym mój prawnik. Nie obnoszę się z tym faktem, chociaż zastanowię się, czy nie wywiesić na drzwiach listy wspieranych przeze mnie szacownych instytucji. Byłby to dobry straszak na takich sierżantów-majorów w spódnicy, co to maszerują mi przez dom i wydają rozkaz, że mam im pomóc.

- Może pan mnie obrażać do woli, milordzie, skoro znajduje pan w tym tyle przyjemności. Potraktuję to jako cenę, jaką płacę za to, że ośmielam się zajmować panu czas. Ale może miło będzie panu usłyszeć, jeśli powiem, że wdzięczność ze strony dzieci będzie ogromna. Święta to jedyny czas, kiedy one są w stanie uwierzyć w pomoc ze strony innych ludzi. Bo wielu ludzi czyni to tylko z okazji świąt.

- Pani od dawna opiekuje się sierotami?

- Tak. Robiłam to przed wojną, teraz też tym się zajmuję.

Nie odpowiedział. Dalej przewracał szpargały w swojej szufladzie, a Gwen wykorzystała ten czas na baczniejsze przyjrzenie się niebywałemu dla niej wnętrzu. Przede wszystkim fascynująca była stara broń i ogromna liczba książek. Były wszędzie, szafy od nich pęczniały, zapełniały szczelnie okrągły blat dużego stołu, wspartego na jednej grubej toczonej nodze na podstawie. Stosy książek leżały na podłodze. Gwen zerknęła na tytuły i zorientowała się, że w

większości są to książki historyczne i biografie. Niektóre z nich w języku dla niej niezrozumiałym, mogła tylko się domyśleć, że to łacina.

- O! Jak dobrze, że pani tu jeszcze jest, panno Davies!

W drzwiach pojawiła się pani Jones z wielką tacą, na której stał czajnik, dwie filiżanki z porcelany Wegwooda, dzbanuszek ze śmietanką, cukiernica z cukrem, słodkie bułeczki na talerzykach i dżem z truskawek.

- Zaraz to gdzieś postawię...

Pani Jones, wydawszy z siebie cichy, ale pełen rozpaczny jęk, wolną ręką zaczęła odsuwać nieco na bok książki na stole.

- Na litość boską, Griffinie, czy pan musi wszędzie rozkładać te swoje zakurzone książki?

Gdyby oczy hrabiego mogły wypuszczać strzały, poczciwa kobieta zapewne żegnałaby się już z życiem.

- Mówiłem pani, pani Jones, żeby pani niczego nie podawała. Panna Davies już wychodzi, muszę tylko jeszcze znaleźć te przeklęte czeki.

- W takim razie, dlaczego pan nie poprosił panny Davies, żeby usiadła? Szła tutaj taki szmat drogi! Gotowa jeszcze pomyśleć, że pan nie ma pojęcia o dobrym wychowaniu. Panno Davies, proszę dać mi swój kapelusz i pelerynę, niechże pani siada przy kominku, o, tu, na tym krześle. A ja już podaję herbatę. Pije pani z cukrem?

- Nie, dziękuję, nie słodzę.

- Z cukrem, bez cukru... jakieś cholerne herbaciane przyjęcie - wymamrotał pod nosem hrabia, konsekwencją czego była kolejna reprimenda z ust pani Jones.

- Jest pan bardzo nieuprzejmy, Griffinie! Wystarczająco już pan naburczał na tę biedną istotę. Powinien pan ją uszanować, ona tak się poświęca...

- Przeżyła gorsze rzeczy. Podobno była pielęgniarką na Krymie - wycodził hrabia. Nagle poderwał głowę znad szuflady. - Naprawdę pani tam była, panno Davies?

- Byłam - przytaknęła, uzmysławiając sobie, że oczy hrabiego są

brązowe. Tak, brązowe, choć przetkane zielenią i złotem, jest tego jednak za mało, aby powiedzieć, że te oczy są piwne. Są brązowe. I piękne...

Hrabia opuścił głowę i podjął swoje poszukiwania w szufladzie.

- Mam nadzieję, że uda się panu odnaleźć ten czek, milordzie - odezwała się półgłosem Gwen, teraz kontemplując włosy hrabiego. Wspaniałe. Gęste, wijące się, niejedna dama chciałaby mieć coś takiego na głowie. Rzęsy pan hrabia też miał gęste i aż za długie jak na mężczyznę. Ale jemu jakoś dziwnie pasowały. - Może mogłabym panu pomóc, milordzie?

- Nie! - burknął, rzucając jej gniewne spojrzenie. - Niech pani tam sobie siedzi, popija herbatkę i broń Boże niczego nie dotyka!

- Pan hrabia ma niby taki swój... system, on tak to nazywa - zaszepiała konspiracyjnie pani Jones, podając Gwen filiżankę pachnącego Earl Greya. - Nie wolno przełożyć ani jednego papierka czy książki. Ale ja tak sobie myślę, że jemu po prostu nie chce się tego posprzątać. Jest zbyt leniwy...

- Aha!

Hrabia, wydawszy z siebie triumfalny okrzyk, wyprostował się i zaprezentował obecnym damom książeczkę czekową.

- Wiedziałem, że ją znajdę! - oświadczył z błyskiem w oku. - Niech pani za bardzo tu się nie rozsiada, panno Gwendolyn Davies. Za parę minut wyruszy pani w drogę powrotną!

- O, nie! - zaprotestowała stanowczo pani Jones. - W taką zamieć?! Niechże pan hrabia raczy spojrzeć w okno!

ROZDZIAŁ DRUGI

Gwen spojrzała w okno dokładnie w chwili, gdy gwałtowny podmuch wiatru załomotał w szyby. A za oknem widać było tylko biały gąszcz wirujących płatków śniegu.

- Och... Byłam pewna, że zacznie padać później i zdążę...

- Niestety, matka natura nie wzięła pod uwagę pani pragnień - rzucił cierpko hrabia, podchodząc do okna. - Albo też i z rozmysłem wybrała pani porę tak niedogodną, zakładając z góry, że uwięziona tu z powodu zamieci będzie miała dostatecznie dużo czasu na zmiękczenie mojego serca. Ja, panno Davies, żyję teraz w odosobnieniu, ale przedtem dużo bywałem i wiem, jak przebiegłe są kobiety.

Gwen nie posiadała się z oburzenia.

- Ależ... ależ mnie coś takiego nigdy by nie przyszło do głowy! Wiedziałam, że zbiera się na śnieżycę, byłam jednak przekonana, że zdążę przedtem wrócić do domu. Jeśli pan mi nie wierzy...

Hrabia uniósł pokrytą bliznami rękę, nakazując ciszę.

- Dziwne, ale ja wierzę pani - oświadczył. - Tylko ostatni głupiec próbowałby zastosować taką taktykę wobec mnie, a ja wcale nie uważam pani za osobę niemądrą. I proszę się nie martwić, wróci pani do domu moim powozem. Jones odwiezie panią, potem zatrzyma się w zajezdzie i tam przeczeka zamieć.

- Milordzie! - Pani Jones spoglądała na hrabiego niemal z politowaniem. - Chce pan, żeby Daniel jechał końmi w taką zamieć?! Ma ugrzęznąć w pierwszej zaspie? O ile wcześniej nie zgubi któregoś z kół, przecież tym powozem już chyba ze cztery lata nikt nie jeździł!

- Ale może to jeszcze nie zamieć... - rzuciła z nadzieją w głosie Gwen.

Hrabia aż prychnął.

- A jak pani nazwie to, co dzieje się teraz na dworze? Po prostu złą pogodą, czy jak?

- Jak zwał, tak zwał - podsumowała pani Jones. - Panna Davies w każdym razie musi pozostać w zamku. Idę przygotować niebieski pokój.

Zanim ktokolwiek zdążył zaprotestować, przemknęła między hrabią a Gwen i zniknęła za drzwiami. Gwen spojrzała na pana domu, pewna, że on i tak nie jest w stanie być bardziej niezadowolony z rozwoju sytuacji niż ona.

- Muszę wracać do sierocińca - oświadczyła kategorycznym tonem.

Hrabia sapnął gniewnie i utykając lekko, powrócił do swojego biurka.

- Czy pani nieobecność w sierocińcu grozi rebelią ?

Gwen zeszywniała.

- Osoby, które zatrudniam, potrafią zadbać o porządek.

- A czy ma pani jakąś rodzinę, która niepokoi się teraz o panią?

- Nie mam rodziny, a w sierocińcu zapowiedziałam, że w razie czego schronię się na farmie Denhallowów.

- A więc jednak!

Hrabia, wydawszy z siebie kolejny triumfalny okrzyk, oparł obie ręce o blat biurka, nachylił się ku Gwen i wpił w nią płonący wzrok.

- Pani wiedziała, że nadciąga zamieć, a jednak pani tu przyszła!

- Naturalnie! Bo zupełnie nie spodziewałam się, że nadciągnie tak prędko. A na farmie Denhallowów zamierzałam schronić się ewentualnie w drodze powrotnej - odparła z największą godnością, na jaką było ją stać. - Ogromnie mi przykro, że zmuszona jestem nadużywać pańskiej gościnności.

- Szkoda, że dopiero teraz jest pani przykro - rzucił gniewnie hrabia i opadł na krzesło. A Gwen czuła, że jego grubiaństwa dłużej nie wytrzyma.

- Milordzie! Ja doskonale zdaję sobie sprawę, że jestem tylko przełożoną sierocińca, który rozpaczliwie potrzebuje finansowego wsparcia. Tym niemniej nawet ja zasługuję na uprzejme traktowanie, niezależnie od tego, co myślałam sobie wcześniej i jaka obecnie jest pogoda. Dlatego stanowczo wolę teraz udać się na farmę

Denhallowów niż znosić pańskie barbarzyńskie wręcz zachowanie. Żegnam pana!

Wstała z krzesła i zrobiła w tył zwrot. Niestety, okazało się, że hrabia jest bardziej zwinny, niż można się było tego spodziewać i pierwszy dopadł do drzwi.

- Niechże pani nie będzie niemądra, panno Davies. Nigdzie pani nie pójdzie.

- Nie jestem niemądra, milordzie. A właśnie tego rodzaju komentarze z pańskich ust są przyczyną mojego odejścia.

- Panno Davies! Ja nie pozwolę, żeby pani wychodziła w taką zamieć!

- A ja nie zostanę tutaj, milordzie, gdzie traktuje się mnie tak lekceważąco.

Hrabia zastanowił się przez chwilę.

- Dobrze więc. Ponieważ nie chcę ponosić odpowiedzialności za pani śmierć, powstrzymam się od tych... komentarzy, czyli najlepiej będzie, jeśli wobec pani zachowam dystans jak największy, powiedziałbym, całkowity.

Gwen spokojnie wytrzymała jego gniewny wzrok.

- Sądzę, że będzie to najlepsze rozwiązanie, milordzie, i nietrudne do wykonania. Bo ja z pańskiej nadzwyczajnej gościnności zamierzam skorzystać w stopniu najbardziej minimalnym, czyli w ogóle.

- W ogóle? Panno Davies, a czy pani przypadkiem nie obawia się pozostać tutaj z powodu mojej reputacji? Boi się pani, co ludzie będą gadać, kiedy dowiedzą się, że młoda, niezamężna dama zatrzymała się na noc u tego dziwaka?

- Ludzie uznają, że byłam w sytuacji bez wyjścia. Jestem tego pewna.

Na ustach hrabiego pojawił się uśmiezek. Wstętny. Równie nikczemnego, szyderczego uśmiešku Gwen nigdy jeszcze w swoim życiu nie widziała.

- Chyba nie obawia się pani, że wślizgnę się do pani sypialni i spróbuję ją wykorzystać w wiadomy sposób?

- Obawiam się, że gorzko pan by tego pożałował, milordzie. Ja od dawna zmuszona jestem sama troszczyć się o siebie!

- Był czas, panno Davies, że z największą chęcią pozbyłaby się pani swojej cnoty w moim towarzystwie!

- Tak pan sądzi, milordzie? A ja myślę, że chełpienie się dawnymi podbojami sercowymi jest niegodne dżentelmena.

Zaczął zbliżać się do niej, niespiesznie, ale konsekwentnie.

- Dżentelmen umarł, panno Davies, w chwili gdy na najstarszego syna z hrabiowskiego rodu Rhyssów spadła ta przeklęta belka i zmieniła go w ruinę człowieka.

Na pewno było to straszne, tym niemniej Gwen nie zamierzała ustępować teraz placu.

- A może jest inaczej, panie hrabio? Może pan, w związku ze zmianą pewnych okoliczności, zmienił również metodę uwodzenia? Jeśli tak, to muszę pana rozczarować. Ja wiele lat spędziłam wśród mężczyzn. Zdarzali się tacy, którzy uważali, że kobieta niespecjalnie ładna czy majątna marzy tylko o tym, żeby znaleźć się w ich łóżu. W moim przypadku nie powiodło im się, ponieważ moja niewinność jest jedyną rzeczą, którą mogę nazwać swoją własnością. Tym niemniej muszę przyznać, że pomysł sportretowania siebie jako łajdaka i rozpustnika w celu uczynienia z siebie postaci bardziej interesującej jest dla mnie absolutną nowością.

- Żaden mężczyzna, który wygląda tak jak ja, nie może liczyć na powodzenie u kobiet, panno Davies.

- Czyli mam płakać z żalu, że pańskie blizny odebrały panu możliwość uwodzenia kobiet?

- Odebrały mi o wiele więcej - mruknął, ruszając ku drzwiom. - Ale pani zapewne by tego nie pojęła... Gdzie, u diabła, podziewa się ta Jones?

W tym samym momencie, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, w drzwiach ukazała się pani Jones z zapaloną świecą w ręku.

- Przecież jestem - odezwała się z przyganą. - Panno Davies, bardzo proszę ze mną, już wszystko przygotowałam. Rozpaliłam

ogień w kominku i naniosałam wody do mycia.

Hrabia powrócił na swoje stanowisko, czyli za swoje biurko.

- Kolację zjem tutaj, w gabinecie - oświadczył i dodał z naciskiem: - Sam!

- Skoro pan sobie życzy... Panno Davies, bardzo proszę!

Pani Jones uniosła wyżej świecę, żeby lepiej oświetlić ciemny korytarz i poprowadziła Gwen ku schodom.

- Panno Davies, bardzo proszę, niech pani się nie gniewa. On zawsze jest trochę nieuprzejmy, kiedy przeszkadza mu się w pracy, a poza tym, jak jest zimno, chora noga bardzo mu dokucza.

Trochę nieuprzejmy! Gwen, choć nieraz spotykała na swej drodze osoby nieuprzejme, nigdy dotąd nie zetknęła się z kimś, kto by wobec niej z rozmysłem był tak niegrzeczny, zuchwały, tak odrażający! A ta głupia uwaga, że mógłby ją uwieść. Żałosne!

- On kończy swoją książkę - wyjaśniła nie bez dumy pani Jones. - Historię Walii. Od czasów rzymskich do panowania królowej Elżbiety.

Na piętrze przeszły najpierw przez długą galerię, wyłożoną mahoniową boazerią. Ściany zawieszono były portretami, zapewne przodków, jak domyśliła się Gwen. Mężczyźni i kobiety w bogatych strojach z minionych epok, świadczących o potędze rodu, bardzo srogo spoglądali na córkę biedaków. Wręcz zadzierali nosa. Ale Gwen wcale nie miała zamiaru dać się zastraszyć, tak samo, jak nie czuła lęku przed ostatnim z ich rodu, którego portret właśnie ukazał się jej oczom.

Hrabia Griffin w wizytowym ubraniu. Prawdopodobnie miał wtedy niewiele ponad dwadzieścia lat. Mimo eleganckiego stroju przybrał pozę niedbałą, opierając się łokciem o marmurowy gzyms kominka. Ta swoboda pasowała jednak do jego uśmiechu i wyrazu oczu, sugerującego, że cały świat stworzony został po to, by dostarczać panu hrabiemu rozrywek. Czemu nie? Sądząc po portrecie, hrabia był nie tylko bogaty i utytułowany, lecz również przystojny. Przystojny tak, że aż zapierało dech.

Czas mija, hrabia nie ma już dwudziestu lat. Straszliwe blizny

szpecą i postarzają, ale coś z tego urodziwego młodzieńca pozostało do dziś. Wspaniałe, wijące się włosy. Zdecydowane rysy twarzy i kpiące, błyszczące inteligencją oczy. Sylwetka w ogóle nie uległa zmianie. Nadal był to wysoki, długonogi i barczysty mężczyzna. Mimo blizn, hrabia pozostał mężczyzną bardzo pociągającym i fakt, że sam skazał siebie na odosobnienie, wynikał po prostu ze słabości charakteru. Dlatego Gwen nie miała zamiaru załamywać nad nim rąk.

- To stało się pięć lat temu, w Oksfordzie - odezwała się nagle pani Jones. - Pan hrabia kończył właśnie studia historyczne. Był taki przystojny, czarujący, młode damy fruwały wokół niego jak stadko ptaszków, a każdy młody szlachcic chciał być jego przyjacielem. Trudno było znaleźć bardziej radosnego młodzieńca niż nasz hrabia. Ale ten pożar i tamta kobieta złamały mu serce. Ona zaraz po tym wypadku zwróciła mu słowo. Ale może to i dobrze, że się jej pozbył, sama zresztą mu to wtedy powiedziałam. A spośród tych wszystkich jego przyjaciół pozostał przy nim jeden, może dwóch i tylko dlatego, że hrabia jest bogaty. Mój biedny chłopiec szybko się zorientował...

Czyli to nie z próżności hrabia uciekł od ludzi... Uciekł, bo kiedy spadła na niego płonąca belka, cały jego dotychczasowy świat legł w gruzach.

- A podczas świąt... Panno Davies, ja nie znam nikogo innego, kto by tak uroczyście obchodził święta jak on. Cały dom rozbrzmiewał kolędami, wyśpiewywał je na całe gardło. Radował się z tych świąt, tak samo jak jego świętej pamięci rodzice. Ileż tam zawsze było podarków, a jakie przysmaki na stole! Na okres świąt najmowano do zamku całą armię kucharek i pomywaczek. Nawet pomywalnię ozdabiało się gałęziami sosny, jemiolą i ostrokrzewem. Och...

Pani Jones otarła oczy rąbkiem śnieżnobiałego fartuszka.

- Ale najbardziej tęsknię za jego śpiewem. Jakież on ma piękny głos, panno Davies! Śpiewa jak sam anioł!

- A dlaczego teraz nie śpiewa? Czy dym podczas tego pożaru uszkodził mu płuca?

- Nie. On mówi, że nie ma już serca do śpiewania! Proszę, panno Davies. To jest niebieski pokój, naprawdę ładny, zaraz pani sama się o tym przekona.

Otworzyła drzwi i Gwen aż westchnęła. Nigdy bowiem jeszcze nie widziała większej i piękniejszej sypialni. Panował tu półmrok, ale kiedy pani Jones zapaliła jeszcze kilka świec, pokój ukazał się w całej krasie. Ściany oklejone były tapetą w śliczne niebieskie kwiatki, meble lekkie, z różanego drewna i z jasnymi obiciami w delikatny wzór. Łoże olbrzymie, z baldachimem i zasłonami w królewskim granacie. Gruba niebieska kołdra z satyny była odsunięta na bok, widać było, że ktoś to łoże słał pospiesznie.

Śliczne mebelki były jednak zakurzone, a więc w tym pokoju nikt nie spał od lat.

- Proszę się rozgościć, panno Davies - powiedziała serdecznie pani Jones. - A ja przyniosę jeszcze trochę niezbędnych rzeczy. Będzie czuła się pani jak u siebie w domu.

O ile w takim miejscu można rzeczywiście poczuć się jak w domu...

- A może ja pójdę razem z panią i pomogę w czymś, pani Jones? Szczerze mówiąc, nie przywykłam do bezczynności.

- Ależ pani jest gościem pana hrabiego, panno Davies!

- Raczej uciekinierem przed złą pogodą, pani Jones!

- To też racja... A więc proszę, w kuchni rzeczywiście jest o wiele cieplej i przytulniej. Griffin nie musi o tym wiedzieć. Poza tym on jest teraz w takim nastroju, że Bóg jeden wie, kiedy wyściubi nos ze swego gabinetu.

Północ na pewno dawno już minęła, a Gwen, narzuciwszy na plecy niebieską satynową kołdrę, nadal trwała na łożu w pozycji siedzącej, obejmując kolana rękami. Odziana była w nadzwyczaj obszerną koszulę nocną pani Jones, kobiety o złotym sercu, która przydźwigała mnóstwo węgla do kominka, przyniosła też gorącą butelkę do wygrzania łóżka, dodatkowe trzy świece, dwa koce i szal.

Na dworze śnieg padał nieprzerwanie, miotany przez zawodzący wicher. Śnieg zapewne zasypał już drogę. Co będzie, jeśli jutro Gwen nie będzie mogła wydostać się z zamku? Ani pojutrze? Święta

przecież już za pasem, a ona pragnęła gorąco, żeby dzieci w tym świątecznym okresie miały nie tylko czyste ubrania i pełne brzuszki, lecz dostały także podarki, a na stole pojawiły się świąteczne smakołyki. Dlatego teraz postanowiła w duchu skorygować nieco swoje postępowanie. Żadnych dyskusji i utarczek słownych. Trzeba działać dyplomatycznie i niczym hrabiego nie denerwować. Bo jeszcze, nie daj Boże, hrabia zmieni zdanie i nie wypisze tego czeku. I co wtedy będzie? Och, dlaczego ona w rozmowie z hrabią nie potrafiła powściągnąć swego języka? Dlaczego?!

Odrzuciła niebieską kołdrę i wyskoczyła z łóżka. Aż jęknęła, kiedy bose stopy dotknęły prawie lodowatej posadzki. Chwyciła za szal, owinęła się nim szczelnie i podeszła do okna. Wszędzie biało, tylko śnieg i śnieg...

Odwróciła się i omiotła wzrokiem olbrzymi pokój. Zadrżała, ale wcale nie z zimna. Ten pokój...

Nie. Ona tu nie zostanie. Ubierze się, zejdzie do kuchni i poczeka tam do rana, póki nie pojawi się pani Jones. Lepsze to, niż przerażająca samotność w pustych czterech ścianach.

Ubrała się, wzięła jedną ze świec i ruszyła przed siebie mrocznym korytarzem. Kiedy weszła do galerii przodków, przeszła tylko kawałek i przystanęła, unosząc wyżej świecę. Pokusa, żeby spojrzeć jeszcze raz na portret hrabiego w rozkwicie młodości, była zbyt wielka.

Tyle urody zabranej przez zły los... Jakby to było, gdyby takie nieszczęście przytrafiło się jej - Gwen Davies? Gdyby natura najpierw obdarowała ją oszałamiającą urodą, potem nagle dodała straszliwe blizny, a odebrała ukochaną osobę i przyjaciół? Kto wie, może ona wtedy też, zgorzkniała, pełna gniewu i żalu do całego świata, pragnęłaby tylko samotności?

- Czy wygody, zaproponowane pani, nie odpowiadają pani wymaganiom, panno Davies?

Odwróciła się, wystraszona. Hrabia stał dokładnie za jej plecami, wynurzając się z ciemności jak jakiś duch.

Ten duch niespodziewanie chwycił ją mocno za przegub ręki.

- Pani pozwoli, że zabiorę świecę. Wolałbym nie kusić losu. Już raz omal nie zginąłem w płomieniach.

Zdenerwowana i zbita z tropu, bez słowa protestu pozwoliła wyjąć sobie lichtarz z rąk.

- Czy w niebieskim pokoju było pani za chłodno, panno Davies? Czy pokój nie spodobał się pani?

- Och, nie! To bardzo piękny pokój.

- W takim razie dlaczego myszkuje pani w środku nocy po moim domu?

- Wcale nie myszkuję, milordzie, i zapewniam, że nie mam najmniejszego zamiaru pana okraść. Idę do kuchni, żeby pomóc pani Jones w przygotowaniu śniadania.

- W środku nocy?

- Wkrótce będzie już świtać, milordzie - oświadczyła z nadzieją, że ma rację. Niestety, hrabia wyjął z kieszonki swój szczerozłoty zegarek i otworzył kopertę.

- Jest trzecia! - I głośno zamknął kopertę z powrotem. - Będzie pani długo czekała w tej kuchni, panno Davies, a panuje tam lodowaty chłód. Pani Jones przed udaniem się na spoczynek gasi wszędzie ogień. Proponuję, żeby pani wróciła tam, gdzie była poprzednio. Pani Jones rano przyjdzie po panią, kiedy śniadanie będzie gotowe.

Odwrócił się na pięcie i ruszył przed siebie.

- Milordzie!

- Och... - Przystanął i wyciągnął rękę z lichtarzem, pragnąc jej go zwrócić. Ale Gwen nie świeca była teraz w głowie.

- Milordzie, ja... ja chciałam pana przeprosić. Podczas naszej rozmowy pozwoliłam sobie na kilka ostrych słów. Mam nadzieję, że nie zmienił pan swego zdania, jeśli chodzi o ten datek dla sierot...

Usta hrabiego wykrzywił przez chwilę jakiś osobliwy grymas.

- Uczynię, co obiecałem, panno Davies. Dla dobra tych dzieci.

Gwen z wielkiej ulgi aż westchnęła cicho.

- Jestem bardzo wdzięczna, milordzie.

- A ja nie jestem jakimś potworem, choć mój wygląd może

wywołać tego rodzaju skojarzenia.

- U mnie nie - oświadczyła spokojnym głosem Gwen. - Zdarzyło mi się oglądać o wiele gorsze blizny.

- To zrozumiałe, skoro jest pani pielęgniarką. Zwykle ludzie reagują inaczej. Ale skoro moja twarz nie wzbudza w pani odrazy, a mnie także, jak pani, wcale nie pilno do łóżka, proponuję łyk brandy. U mnie, w moim gabinecie.

Gwen nie odpowiedziała od razu. Jej milczenie hrabia zinterpretował, naturalnie, po swojemu.

- Obiecuję pani, że z mojej strony nic pani nie grozi - powiedział, po jego twarzy przemknął znów ten niemiły uśmiešek. - Nie należy pani do tego rodzaju kobiet, jakie mnie pociągają. A może jednak czuje pani przede mną lęk?

- Nie, milordzie.

- W takim razie proszę ze mną, panno Davies. Weszli do gabinetu. W kominku płonął ogień,

rozsiewając dookoła blask i ciepło. Brązowawe światło lampy olejowej oświetlało stopy szpargałów i książek na biurku, czyli bałagan. Ale, o dziwo, sanktuarium hrabiego wydało się teraz Gwen miejscem nadzwyczaj zacisznym i przytulnym.

Bez słowa wskazał Gwen krzesło, a sam wsunął rękę za książki na półce tuż koło drzwi.

- Czyste - obwieścił, wyciągając zza książek dwie szklaneczki. - Pani Jones przyniosła dziś rano.

Zabrał się za nalewanie brandy, Gwen natomiast opadły nagle wątpliwości.

- Może ja jednak nie powinnam...

- Napić się brandy? A dlaczego? Jeśli pani mnie się nie boi, nie powinna czuć lęku przed odrobiną brandy. Proszę potraktować ją jako... medykament, panno Davies!

Podał jej kieliszek i usadowił się w krzesle naprzeciwko.

- A jakiej wysokości ma być ten datek, żeby uszczęśliwić te pani sierotki?

- Dziesięć funtów. Hrabia wypił łyk brandy.

- Chyba niewiele jak na taką liczbę dzieci.
- Bo też i niewiele trzeba, żeby je uszczęśliwić, milordzie. A poza tym obawiam się, że gdybym wymieniła większą kwotę, pan nie zdecyduje się na następny datek!

Hrabia roześmiał się. Te niegłośne, niskie dźwięki okazały się zadziwiająco przyjemne dla ucha.

- Mądra odpowiedź - powiedział. - W dowód uznania, panno Davies, postanowiłem podaną przez panią kwotę nieco powiększyć.

Gwen uśmiechnęła się.

- Dziękuję, milordzie.
- Jeśli to właśnie spędzało pani sen z powiek tej nocy, jest już po kłopotcie.

Wstał, podszedł do kominka i postawił swój kieliszek na gzymsie.

- A może ma pani jeszcze jakieś inne zmartwienia?
- Ależ skąd!
- W takim razie, co tak naprawdę skłoniło panią do opuszczenia pokoju w środku nocy? Wyjawi mi to pani?
- Pan tego nie zrozumie, milordzie.
- Przekonajmy się.
- Dobrze, powiem panu. Rzecz w tym, że ja... ja wcale nie pragnę samotności, której pan, panie hrabio, tak łaknie. Ja jej się boję.

Zamilkła na chwilę, zapatrzona w ogień.

- To było bardzo dawno - powiedziała cicho, nie odwracając wzroku od złocistych płomieni. - Miałam wtedy cztery lata, a pamiętam, jakby zdarzyło się wczoraj. Moi rodzice zmarli na gorączkę oboje, w odstępie kilku godzin. Byłam z nimi sama przez całą tę noc. Dopiero następnego dnia, koło południa, ktoś zapukał do naszych drzwi.

Pamiętała. Strach, rozpaczliwe próby zmuszenia rodziców, żeby podnieśli się z łóżka. I jak ją stamtąd zabierano, jak opierała się, krzyczała i kopała...

Hrabia bez słowa nalał jej następną porcję brandy. Nalał też sobie i usiadł w swoim krześle. Wtedy wypija łyk.

- Zabrali mnie do sierocińca. Wielu ludzi uważa, że to coś

straszego, zwłaszcza ci, którzy czytali powieści Dickensa. Bo też i jest wiele złych sierocińców. Mnie jednak spotkało szczęście. Wysłano mnie do jednego z najlepszych. Jedzenie było proste, ale nikt nie chodził głodny. Ubranie czyste, na pewno lepsze niż brudne szmaty, jakie nosiłam przedtem. Ale ten strach, po tamtej nocy, pozostał we mnie na zawsze. Boję się być sama, zwłaszcza w ciemnościach. W sierocińcu mam naturalnie swój własny pokój, ale mam też świadomość, że w pobliżu jest bardzo wiele innych osób. Wystarczy krzyknąć, a nawet tylko podnieść głos i już ktoś mnie usłyszy.

- Czyli nie miała pani łatwego życia, panno Davies.

- Nie. Ale udało mi się przetrwać, milordzie.

- A jak to się stało, że została pani pielęgniarką?

- Dzięki temu, że po raz drugi w moim życiu dopisało mi szczęście. Nasz pastor, wielebny Johnston, uważał mnie za bystrą dziewczynkę i kiedy dowiedział się, że chcę być pielęgniarką, postanowił opłacić moją edukację. A potem, kiedy dowiedziałam się o sytuacji na Krymie, poprosiłam, żeby mnie tam wysłano.

- Odwdzięczając się wielebnemu dobrą pracą czy podążając tam za ukochanym?

- Wielebny Johnston uczynił to bezinteresownie, milordzie. A na Krym, owszem, podążyłam za kimś. To była Mary Seacole.

- A nie panna Florence Nightingale ze swą słynną lampą?

Hrabia porzucił poważny nastrój i znów zabłysnął ironią. Gwen wcale nie była zadowolona z tej transformacji.

- Panna Florence Nightingale jest nadzwyczajną osobą, jej metody uratowały wiele istnień ludzkich. Ale ja więcej czasu spędziłam z panną Mary Seacole w Bałakławie niż w lazarecie w Sewastopolu. Może pan słyszał o pannie Seacole? Ona, co prawda, nie jest tak znana jak panna Nightingale, ale...

Gwen uśmiechnęła się na wspomnienie dzielnej i zdeterminowanej Kreolki.

- To cudowna kobieta! Dla niej nie ma żadnych przeszkód. Departament Wojny odesłał ją z kwitkiem, a ona i tak pojechała na Krym i za własne pieniądze urządziła lazaret bardzo blisko frontu.

Gdyby pan słyszał, jak Mary zwracała się do oficerów, których znała jeszcze z Zachodnich Indii! Mówiła o nich zawsze „moi chłopcy”. I tak bardzo chciała im pomóc...

Jej głos nagle zamarł, kiedy przypomniała sobie, ilu tym dzielnym młodym ludziom nie można już było w niczym pomóc, jak wielu z nich zostało zabitych.

- Czyli to panna Seacole wywarła na panią taki wielki wpływ? - zapytał hrabia, poprawiając się w swoim krześle. - A proszę mi powiedzieć, czy pod Bałakławą rzeczywiście było aż tak źle, jak pisano w gazetach?

- Jeszcze gorzej, panie hrabio. Żadne pióro nie odda tego, co tam się działo naprawdę. - Pomyślała, że nigdy nie zapomni rozdzierających jęków, skarg i charakterystycznego zapachu rannych, którzy, stłoczeni na statkach, przewożeni byli do lazaretu panny Nightingale. Ani tego poczucia całkowitej bezradności wobec czyjegoś cierpienia.

- I to dlatego nie jest już pani pielęgniarką? Gwen dopiła swoją brandy i skinęła głową.

- Tak. Wystarczająco napatrzyłam się na śmierć, krew i kalectwo. Wystarczy mi tego na całe życie. A ja lubię dzieci i wiedziałam, ile dobrego można zrobić jako wychowawczyni w sierocińcu, mając tak wspaniałą przełożoną, jaką miałam ja, gdy zaczynałam tę pracę. Potem usłyszałam, że szukają przełożonej do Sierocińca Świętej Brygidy w Llanwyllan. Zgłosiłam się i zostałam przyjęta. Dzięki temu zresztą zjawiłam się u pana, panie hrabio.

Kąciki ust hrabiego drgnęły. Uśmiechnął się.

- Tak. Zjawiła się pani i prędko stąd nie wyjdzie. Jest pani uwięziona tu razem ze mną!

ROZDZIAŁ TRZECI

Gwen nagle uświadomiła sobie w pełni swoją obecną sytuację. W tym pokoju była sam na sam z bardzo pociągającym dżentelmenem, na dworze szalały żywioły, a w całym wielkim zamku była jeszcze tylko para służących. Mimo to, rzecz dziwna, Gwen nie odczuwała żadnego lęku, a to wydawało jej się nadzwyczaj niestosowne.

Hrabia wstał z krzesła i dorzucił węgla do kominka.

- Jak heroina z gotyckich opowieści albo z jakiejś bajki... - powiedział. - Cnotliwa panna Gwendolyn Davies trafiła do zakłętego zamku. W tym zamku mieszka piękny książę, na którego zła czarownica rzuciła urok, zmieniając jego twarz w szpetną. A może...

Wyprostował się i spojrzał na nią.

- Gdyby pani mnie pocałowała, złe czary przestaną działać. Blizny znikną i będę taki, jak przedtem. Młody, przystojny i szczęśliwy.

Serce Gwen, znów rzecz dziwna, zabiło żywiej. Ale nad głosem udało jej się zapanować.

- Przeszłość jest czymś nieodwracalnym, milordzie. Ja z wielką chęcią wybrałabym sobie inną, ale jest to przecież niemożliwe. Trzeba się z tym pogodzić.

Hrabia chwycił za pogrzebacz i poprawił ogień. Snop iskier znikł w kominie.

- Nie musi mi pani tego mówić. Przecież codziennie spoglądam w lustro.

Gwen wstała i wyjęła mu pogrzebacz z ręki, zanim zdążył nim przewiercić brykiet na wylot.

- Pan ma straszliwe blizny, panie hrabio, ma pan też kłopoty z nogą, ale oprócz tego, jak podejrzewam, zdrowie panu dopisuje. Jest pan też bogaty i utytułowany. Za to wszystko powinien pan być losowi wdzięczny.

- I co? Zachowywać się tak, jakby nic się nie stało?! - rzucił gniewnie. - Łatwo pani tak mówić, panno Davies. Ciekawe, czy gdyby pani miała blizny, na widok których ludzie odwracają się ze wstrętem, prawilaby mi kazania o tym, że tak naprawdę to jestem człowiekiem bardzo szczęśliwym.

Gwen odłożyła pogrzebacz na miejsce, spojrzała na hrabiego i spokojnie wytrzymała jego gniewny wzrok.

- A czy zdaje pan sobie sprawę, że bardzo wielu ludzi z chęcią znalazłoby się w pańskiej sytuacji?

- A czy pani wie, z jak wieloma ludźmi ja z chęcią bym się zamienił?

- Kiedy zacznie pan znów bywać wśród ludzi, przestaną zauważać pańskie blizny. Nie powinien pan uciekać od ludzi. Ja pojmuję, że doznał pan również zawodu sercowego...

- A cóż pani raptem może wiedzieć o stanie mojego serca?

Gwen zarumieniła się, ale brnęła dalej.

- Wiem, że odtrąciła pana kobieta, którą zamierzał pan poślubić.

Hrabia zaśmiał się dziwnie gorzko. Odszedł od kominka i stanął za swoim biurkiem.

- Nie powinno to pani obchodzić, ale wyznam coś pani... Pod tym względem ten wypadek wyszedł mi na dobre. Rozstałem się z piękną Letycją, a gdybym się z nią ożenił, już po miesiącu byłbym rogaczem. Ja wcale nie tęsknię za utraconą miłością, panno Davies!

Gwen westchnęła z ulgą. Naturalnie cieszyła się tylko i wyłącznie ze spokoju ducha hrabiego Griffina.

- Cieszę się, że to słyszę, milordzie. I powtarzam raz jeszcze. Powinien pan wrócić między ludzi.

- Wrócić między ludzi? Łatwo pani mówić, bo nie ma pani takich doświadczeń jak ja. Na pani widok nikt nie odwraca się z lękiem i odrazą. Nie musi pani też wciąż na nowo uzmysławiać sobie, że cała pani przyszłość została zrujnowana z powodu bójki, której pani wcale nie zaczęła. A poszło o kobietę, która okazała się niewiele lepsza od ladacznicy...

- Wcale nie twierdzę, panie hrabio, że to wszystko jest proste.

Ale ja też w życiu zebrałam wiele gorzkich doświadczeń. Czy pan sądzi, że łatwo mi przyszło wykuć swój los w świecie, który kobietom stwarza tak niewiele możliwości, zwłaszcza kobietom ubogim, nie posiadającym żadnej rodziny? A jeśli chodzi o pańską przyszłość... Na pewno będzie nieco inna, niż pan planował we wczesnej młodości, ale to wcale nie znaczy, że nie wolno panu już niczego oczekiwać od życia, nie wolno do niczego dążyć. Chociaż myślę, że pan sam zdaje sobie z tego sprawę i dlatego zajął się pisaniem książki.

- Przede wszystkim w ten sposób zabijam czas. Dzięki temu jeszcze nie oszalałem.

- Tylko to? Aha... W takim razie nie będzie pan miał nic przeciwko temu, jeśli wezmę sobie kilka kartek i dorzucę do ognia.

Szybkim krokiem podeszła do biurka, zanim jednak zdążyła dotknąć którejkolwiek kartki, hrabia podskoczył do niej i złapał ją za rękę.

- Jak pani może?! To moja praca!

- Praca? - spytała chłodno, świadoma jednocześnie, że rośnie męskie ciało znajduje się zaledwie kilka cali od niej, co wzbudzało w niej jakąś ekscytację. Bardzo osobliwą i dotąd nieznaną. - Mówił pan, że w ten sposób zabija tylko czas.

- Niech pani oszczędzi sobie kolejnych wywodów, panno Davies! Sam najlepiej wiem, czemu zająłem się tą książką. A co do unikania ludzi... Tak, stronię od nich, dzięki temu oni nie mają możliwości mnie odtrącić. Proste, prawda? Pani postępuje inaczej. Pani łączy się do ludzi i chce, żeby darzyli panią sympatią, dlatego stara się pani być użyteczna i potrzebna innym. To zresztą skłoniło panią do przyścia tutaj. Tęsknota, żeby być kochaną. Uczucie tak samo egoistyczne, jak moje pragnienie bycia samym. Czyż nie tak, panno Davies?

- Jak pan śmie! - Gwen, pobladła z oburzenia, jednym szybkim ruchem wyzwoliła swoją rękę. - Jak pan śmie uważać moją pracę za przejaw egocentryzmu i egoizmu? Ja w ten sposób pomagam innym ludziom. A pan... Czy pan robi coś dla innych? Oprócz dąsania się i

rozpamiętywania swoich niepowodzeń, nie robi pan nic! Mnie w tym zamku uwięziła zamieć, a pana... pana zwykła próżność!

- Próżność? - warknął. - Czy to próżność, że chcę świata zaoszczędzić tego widoku?

Jednym gniewnym ruchem odgarnął włosy w tył, aby Gwen mogła dokładnie przyjrzeć się spustoszeniu na jego twarzy, szyi i uchu.

- Tak. To jest próżność i duma - oświadczyła spokojnym głosem Gwen. - Z taką postawą zetknęłam się wielokrotnie, zwłaszcza wśród oficerów, bardzo przystojnych, którzy odnieśli ciężkie rany albo stali się kalekami. Kilku z nich z tego powodu odebrało sobie życie. Pan w pewnym sensie też to uczynił. Pan uciekł od ludzi, jakby pogrzebał się żywcem. A jeśli chodzi o pragnienie miłości... Każdy tego pragnie, także pan. W tym zamku trzyma pana też strach, że nikt pana już nie pokocha! Ze znów jakaś kobieta pana odtrąci!

- Nie tylko ja się chowam, panno Gwendolyn Davies! Pani też się ukrywa w tej okropnej czarnej sukni, podobnej do worka! A głowa to chyba boli panią bez przerwy od tych mocno ściągniętych włosów!

- Noszę takie stroje, na jakie mnie stać, milordzie. Na strój hrabiowskiej pokojówki nie mogę sobie pozwolić, zresztą ja nie mam czasu na fryzowanie włosów! Pan wybaczy, milordzie, ale ja pańskich impertynencji dłużej słuchać nie będę...

Nagle oboje znieruchomieli. Z korytarza dobiegł jakiś głośny stukot. Ktoś załomotał do drzwi zamku. Hrabia natychmiast chwycił za lampę stojącą na biurku i wyszedł na korytarz. Gwen poszła za nim, zapominając o swoim wzburzeniu. Bo jeśli ktoś w taką zamieć przybywa do zamku, musi to być coś naprawdę ważnego.

Hrabia, stojąc w kręgu światła lampy, otworzył drzwi pod portykiem. Do sieni wszedł krępy mężczyzna, słaniający się na nogach. Jego kapelusz, czarna broda i sukienna kurta pokryte były grubą warstwą śniegu. W rękę trzymał latarnię, w której migotał nikły płomyk świecy.

- Przecież to Mervyn! - krzyknął zdumiony hrabia. Rzucił się do mężczyzny i podtrzymał go ramieniem. - Do diabła, Mervynie, co wam przyszło do głowy, żeby wychodzić z domu w taką zamieć?!

- Pan... pan hrabia... jak dobrze - wybełkotał mężczyzna i ciężko dysząc, oparł się całym ciałem o hrabiego. Gwen podbiegła szybko, chwyciła Mervyna pod drugie ramię i wyjęła mu z ręki latarnię. Billa Mervyna znała dobrze, miał niewielką farmę na zboczu góry. Razem ze swoimi synami zaglądał często do sierocińca, żeby wykonać różne naprawy.

- A gdzie chłopcy? - spytała pełnym niepokoju głosem.

- Na farmie, panno Davies. A mój Teddy upadł, poranił się i chyba złamał nogę. Przeszedłem prosić pana hrabiego, żeby użyczył mi konia. Muszę jechać po doktora.

- Co za pomysł! - sarknął hrabia. - Przecież mogliście zagubić się w tej zamieci, Mervynie, albo spaść z konia i sami złamać nogę!

Razem z Gwen wprowadzili, a właściwie prawie wnieśli ledwo żywego Mervyna do gabinetu i usadzili na krześle koło kominka.

- Milordzie, naprawdę nie może pan pożyczyć mi konia? - spytał Bill błagalnym głosem. - Muszę jechać po doktora do Llanwyllan. Z Teddym jest bardzo niedobrze. I chłopcy zostali teraz sami.

Hrabia nalał do szklaneczki solidną porcję brandy i wcisnął Billowi szklankę do ręki.

- Wypijcie to, Mervynie.

Bill zaczął podnosić się krzesła.

- Ja... ja muszę jechać po doktora.

- Siadajcie! - rozkazał hrabia. - Jesteście na wpół zamarznięci, Bill. W taką pogodę nie wolno wam się nigdzie stąd ruszać.

- Ale...

- Ja pojedę po doktora! - Hrabia już szedł ku drzwiom i wołał głośno. - Jones! Jones!

Gwen była nieco zaskoczona decyzją hrabiego, jednocześnie poczuła wielką ulgę. Przyklękła przy Billu i zaczęła pośpiesznie ściągać mu z nóg przemoczone buty.

- Trzeba koniecznie ich się pozbyć, Mervynie.

- Ależ, panno Davies!

Bill odstawił szklankę, pochylił się i sam zaczął ściągać jeden z butów.

- Pozwólcie, Mervynie, że ja to zrobię. A wy zdejmijcie mokre rękawiczki. - Głos Gwen był łagodny, pełen jednak stanowczości. Miała już sposobność się przekonać, że taki ton jest najskuteczniejszy wobec żołnierzy każdej rangi, od generałów począwszy. - Przede wszystkim musicie wyschnąć i rozgrzać się, bo inaczej dostaniecie gorączki.

Pani Jones w szlafroku z grubej flaneli minęła hrabiego w drzwiach i wpadła do gabinetu.

- Wielki Boże! - wykrzyknęła. - Przecież to Mervyn!

Za małżonką podążał siwowłosy pan Jones o rumianych policzkach, w koszuli częściowo wepchniętej do spodni i tylko z jedną ręką w rękawie surduta. W drugiej ręce pan Jones trzymał swoje buty.

- Syn Mervyna miał wypadek - wyjaśnił krótko hrabia. - Panie Jones, siodłaj pan mi konia jak najprędzej. Jadę po doktora. Pani Jones, myślę, że Billowi przydałaby się filiżanka gorącej herbaty i coś do jedzenia.

Pan Jones, nadal walcząc ze swoją garderobą, wybiegł z pokoju, za nim pośpieszyła żona.

- Bill - odezwała się Gwen łagodnym głosem. - Czy kość przebiła ciało?

- Tak, panno Davies. To wygląda strasznie. Rozciąłem spodnie i owinąłem nogę bandażem. Ale nie wiedziałem, co robić dalej.

- Zrobiliście bardzo dobrze - zapewniła go Gwen, żywiąc w duchu nadzieję, że bandaż był czysty. - Panie hrabio, czy mogłabym z panem zamienić słowo? Chciałam zapytać, ile mniej więcej czasu będzie pan jechał..

Kiedy tylko wyszli na korytarz, Gwen szeptała gorączkowo:

- Milordzie, pan zapewne ma niejednego konia, prawda? My przecież do tego chłopca mamy o wiele bliżej niż doktor. A do chłopca trzeba jechać jak najprędzej, bo może wdać się gangrena. Potrafię złożyć kości, opatrzę ranę i poczekamy na doktora.

- Oczywiście, panno Davies. Ja sam omal nie straciłem nogi, nie życzę tego temu biednemu chłopcu. Jones pojedzie po doktora, a my

jak najszybciej na farmę, znam drogę na skróty. Ale ta droga nie należy do łatwych. Czy pani dobrze trzyma się w siodle, panno Davies?

Ta kwestia była dla Gwen nieistotna. Teraz za wszelką cenę chciała jak najszybciej dostać się do Teddy'ego.

- Na pewno jakoś utrzymam się w siodle, panie hrabio. A konno będzie szybciej, niż brnąć na piechotę przez śnieg.

Hrabia zaklął cicho.

- A więc tak... Ale trudno, nie mamy wyboru.

- Pobiegnę po pelerynę!

- Ja przyniosę. Proszę zostać z Billem, on jest w bardzo złym stanie. Panno Davies, mam tynk-turę z opium. Może się przyda?

- Naturalnie. Niech pan ją weźmie ze sobą. I bandażę, koniecznie.

Hrabia skinął głową i zniknął w głębi korytarza. Gwen wróciła do gabinetu. Pomogła dygoczącemu Billowi ściągnąć mokrą kurtę, szal i wełnianą czapkę. Potem roztarła mu dłonie i stopy, stwierdzając z ulgą, że niczego sobie nie odmroził. Bill przede wszystkim był śmiertelnie zmęczony.

- Bill, powiedzcie mi, jak to się stało?

- Teddy upadł na podwórzu, na lód. Noga wykręciła się tak dziwnie, słychać było, jak trzasnęła kość. Zaniósłem biedaka do łóżka i opatrzyłem, jak umiałem. Ale wiedziałem od razu, że bez doktora się nie obejdzie.

- Bardzo dobrze, żeście tutaj przyjechali. Pan Jones pojedzie po doktora, a ja z panem hrabią pojedziemy zaraz do waszego syna. Nie martwcie się, Bill. - Gwen uśmiechnęła się serdecznie i przykryła dłonią spracowaną dłoń farmera. - Ja potrafię składać kości.

- To dobrze. Niech pani je jak najlepiej złoży, panno Davies!

Gwen, słysząc szorstki głos hrabiego, drgnęła i odruchowo cofnęła rękę, chociaż w okazywaniu serdeczności strapionemu człowiekowi nie było przecież nic zdrożnego. Drgnęła również z innego powodu, na blat biurka bowiem opadło miękko coś prześlicznego. Peleryna z czerwonego aksamitu, obszyta gronostajami, z kapturem z frędzlami.

Hrabia rzucił ją tam od progu. Sam gotowy był już do drogi, ubrany w długi granatowy płaszcz i kapelusz z bobrowego futra. Długie, czarne buty do konnej jazdy, pięknie wyglansowane, błyszczały w blasku ognia. W ręku hrabia trzymał torbę, w której coś zadźwięczało, kiedy hrabia przestąpił z nogi na nogę. Bez wątpienia butelki z tynkturą.

- Czekam na panią w stajni - rzucił i wykonał w tył zwrot. W drzwiach minął się z panią Jones, podążającą z załadowaną tacą. Pani Jones postawiła tacę na stole i spojrzała na Billa z wielkim współczuciem.

- Proszę, Bill, częstujcie się. Macie tu tosty, wędlinę, nasmażyłam wam też jajek. I wypijcie jak najwięcej gorącej herbaty. A ja pójdę po rękawiczki dla pani, panno Davies, i jakieś porządne trzewiki. Przyda się też ciepły szal.

Wzrok pani Jones przemknął po biurku.

- Myślałam, że on to spalił - mruknęła gniewnie i szybkim krokiem opuściła pokój.

Gwen zastanowiła się przez moment. Czyżby ta wytworna peleryna to pamiątka po pięknej Letycji? Nie zasługiwała na nią ta płoża kobieta, która odtrąciła mężczyznę z powodu kilku blizn. Ale spalić? Zniszczyć tak piękną rzecz? Szkoda...

Bill ledwo zaczął jeść, kiedy w gabinecie zjawiała się pani Jones. Gwen szybko zmieniła obuwie. Trzewiki pani Jones były o wiele za duże, ale nie miało to przecież żadnego znaczenia. Gruby, wełniany szal Gwen owinęła wokół szyi i narzuciła czerwoną pelerynę.

- A więc ruszam w drogę - oznajmiła. - Bill, nie martwcie się, zaopiekuję się waszym synem najlepiej jak potrafię. Pani Jones, myślę, że Bill, kiedy się naje, powinien się położyć.

- Koniecznie - przytaknęła gospodyni. - Dopilnuję tego, panno Davies. Potrafię opiekować się dziećmi i chorymi.

Gwen uśmiechnęła się.

- Tak też myślałam.

Od samego początku podejrzewała, że to pani Jones piastowała małego Griffina, ona też zapewne pielęgnowała go po straszliwym

wypadku. A to tłumaczyło niemal familiarne stosunki między hrabią a jego gospodynią.

Szybkim krokiem przemaszerowała przez dom i wyszła na dziedziniec. Wszędzie było biało. Sypało nadal, ale wicher ucichł. Niebo na wschodzie jaśniało, zapowiadając rychły wschód słońca. Żelazna brama była już otwarta, ślady tego, kto otworzył, doskonale były widoczne na bielutkim śniegu. Zapewne hrabia. Otworzył bramę i poszedł do stajni, tam też podążyła teraz Gwen.

W stajni powitało ją przyjemne ciepło. I trzy konie, gotowe już do drogi. Hrabia stał obok wielkiej czarnej bestii, parskającej co chwila i niecierpliwie przestępującej z nogi na nogę. To stworzenie dziwnie przypominało swojego pana. Dwa pozostałe konie były brązowe i mniejsze, pan Jones jednego z nich wyprowadzał właśnie ze stajni.

- Panie Jones, niech pan trzyma się drogi! - krzyknął za nim hrabia. - A jeśli zaczniesz sypać jeszcze bardziej, schronisz się pan na którejś z farm i przeczekasz. Nie wolno ryzykować! A chłopak, póki co, będzie naprawdę w dobrych rękach.

Pan Jones skinął głową, przytknął palec do czapki i poszedł ku drzwiom. A hrabia, prowadząc za sobą swego karego rumaka, podszedł do drugiego z mniejszych koni, brązowego z czarną grzywą i ogonem.

- Pojedzie pani na tym gniadym, panno Davies - powiedział. - Proszę podejść, chwycić się siodła, a stopę oprzeć na moich rękach.

Nachylił się, Gwen oparła stopę na splecionych palcach jego rąk i została podniesiona dostatecznie wysoko, aby mogła wgramolić się na siodło. Zajęła jej sporą chwilę sama czynność wsiadania na konia, a także powtarzanie sobie w duchu, że naprawdę nie ma powodu do strachu. Niestety. Czuła taki sam lęk, jak wtedy, kiedy po raz pierwszy wkraczała na pokład statku, którym popłynęła na Morze Śródziemne.

- Panno Davies! Mam nadzieję, że pani nie po raz pierwszy w życiu siedzi na koniu? - spytał hrabia.

- Naturalnie, że nie. Siedziałam już na koniu, raz czy dwa razy, na jarmarku. Ale to nie ma znaczenia, najważniejsze, żeby jak

najszybciej dojechać do biednego Teddy'ego.

- Dojechać w całości - mruknął hrabia. Wyprowadził oba konie na dwór, oddał Gwen wodze i zręcznie, wskoczył na siodło. Dał znak ręką. Wśród wirujących białych płatków przejechali przez żelazną bramę i ruszyli w stronę gór.

Gwen dopiero po raz trzeci w życiu siedziała na koniu, ale wcale nie czuła lęku. Najważniejszy był teraz ten biedny chłopiec ze złamaną nogą. Muszą jak najszybciej dojechać do farmy Billa Mervyna.

RS

ROZDZIAŁ CZWARTY

Śnieg nadal padał z ciężkich ołowianych chmur. Na szczęście wiatr przestał hulać ponad skalnymi wzniesieniami, ale droga była ciężka. Wspinali się wąską ścieżką wśród rozpadlin skalnych, w których zbierała się woda i nie zdążywszy zamarznąć, spływała w dół po zboczu. Potem wjechali w las. Tu panowała niczym niezmacona cisza, Gwen słyszała tylko ciche postukiwanie kopyt i własny oddech.

Hrabia jechał, naturalnie, pierwszy. Jego barczyste ramiona i czapka pokryte były śniegiem. Kary koń szedł niespokojnie, rzucał łbem, zniecierpliwiony powolnym marszem. Tak samo zniecierpliwiony jak Gwen, która modliła się w duchu, aby jak najprędzej znaleźć się przy chorym chłopcu.

- Milordzie! Daleko jeszcze? - zawołała.

- Nie! Już widać farmę! O, tam! - odkrzyknął hrabia, wskazując ręką w lewo. Gwen wyteżyła wzrok i między białymi czapami śniegu, przykrywającymi gałęzie drzew, dojrzała ciemne sylwetki zabudowań.

Po niedługim czasie dojechali do drewnianej, rozchwianej bramy. Hrabia zeskoczył z konia, otworzył bramę i pierwszy wszedł na niewielkie podwórze. Gwen wjechała za nim. Hrabia pomógł jej zsiąść z konia, odwrócił się i zaczął szperać w sakwach przy swoim siodle.

- Tu jest tynktura z opium - oznajmił, wręczając jej butelkę owiniętą kawałkiem grubej tkaniny. - A to... - hrabia wydobył z sakwy następną butelkę - a to jest whisky.

- Whisky?!

- Do odkażenia rany. A tu są bandaże. Proszę. Wręczył jej mały tobołek, chwycił wodze i ruszył z końmi w stronę niewielkiej szopy.

- Panie hrabio! - zawołała za nim Gwen. Przystanął.

- Poczekam przy koniach w szopie.

- W szopie?! Gwen ruszyła za nim, posuwając się nawet dość szybko, zważywszy głębokość śniegu i rozmiar pożyczonych trzewików.

- W szopie, tak? Chce pan tam się schować, tak jak pan kryje się w swoim zamku! Jakby był pan jakąś maskarą, a przecież pan nią nie jest! I poza tym teraz nie pora na chowanie się i folgowanie swojej próżności. Potrzebuję pańskiej pomocy. Ktoś musi trzymać chłopca, kiedy będę składać mu nogę. Młodszy syn Billa ma dopiero osiem lat, on sam nie da rady...

Twarz hrabiego pozostała nieprzenikniona. Przez chwilę Gwen obawiała się, że hrabia ma zamiar odmówić. Ale nie, hrabia w końcu skinął głową.

- Dobrze. Odprowadzę tylko konie do szopy.

- Dziękuję.

Gwen też skinęła głową, odwróciła się i ruszyła z powrotem przez śnieg. Zanim dobiegła do domu, drzwi otworzyły się i stanął w nich niewysoki William Mervyn. Ośmiolatek odziedziczył po ojcu czarne kręcone włosy i okrągłą twarz. Teraz jego buzia była blada, jasnoniebieskie oczy podkrążone. Dziecko prawdopodobnie miało za sobą bezsenność.

- Pamiętasz mnie, Williamie? - spytała Gwen, kiedy ciężko dysząc, podchodziła do drzwi. - Jestem panna Davies z Sierocińca Świętej Brygidy. Przychodzisz do nas czasami razem ze swoim tatą, żeby nam pomóc.

- A gdzie jest tato? - spytał chłopiec, spoglądając bojaźliwie gdzieś ponad jej ramieniem. - Czy tato też upadł? Coś mu się stało?

Gwen uśmiechnęła się serdecznie, wzięła chłopca za rękę i razem weszli do izby.

- Nie martw się, Williamie, twojemu tacie nic nie jest. Ale był bardzo zmęczony i zziębnięty, poprosiłam więc, żeby został w zamku. I chyba dobrze zrobiłam, prawda? Chyba nie chcesz, żeby tato się rozchorował i to tuż przed świętami"?

Chłopiec energicznie pokręcił głową. Gwen zdjęła mokrą od śniegu pelerynę i powiesiła na wolnym kołku koło drzwi. Na

pozostałych wisały szaliki, czapki i części końskiej uprząży.

- Na szczęście dzięki panu hrabiemu mogłam tu przyjechać. Pomogę twojemu bratu. Wiele razy składałam już złamane nogi i ręce.

- W kto to jest tamten pan?

- To jest właśnie hrabia Griffin - powiedziała, rozglądając się dookoła w poszukiwaniu chorego chłopca. Jej wzrok przemknął szybko po izbie niewiele większej od hrabiowskiej kuchni. Zauważyła wejście na stryszek, gdzie na pewno spali chłopcy. Kominek i duży solidny dębowy kredens udekorowane były gałęziami sosny i ostrokrzewu, nieopodal stał stół, zastawiony brudnymi naczyniami. A koło pieca kuchennego na wąskim łóżku leżał dwunastoletni Teddy, czarnowłosa, jak ojciec i brat. Jego twarz, ledwo widoczna wśród poduszek i wystrzępionych kocy, była przeraźliwie blada.

Gwen postawiła swoje rzeczy na stole i pośpieszyła do chorego. Położyła rękę na jego czole. Rozpalone, czyli stało się to, czego się obawiała najbardziej. Chłopiec miał wysoką gorączkę.

Ostrożnie odsunęła koce i jak najdelikatniej zaczęła odwijać z chorej nogi bandaż, na szczęście, czysty. Teddy poruszył się niespokojnie. Krzyknął i otworzył nieprzytomne od gorączki oczy.

- Zabolało? - spytała cicho Gwen. - Przepraszam, kochanie, ale muszę to zrobić. A wiesz, kto ja jestem? Panna Davies z Sierocińca Świętej Brygidy. Pamiętasz mnie?

Chłopiec, zaciskając mocno zęby, skinął głową.

- Obejrzę twoją złamaną nogę, Teddy, i potem ją usztywnię.

Złamanie było paskudne, takie złamanie, przy którym Gwen musiała wykorzystać wszystkie swoje umiejętności i doświadczenie.

Odgarnęła pieśczośliwie chłopcu włosy z czoła i pogłaskała go po głowie.

- Zamknij oczy, kochanie, i poleż sobie spokojnie, a ja zaraz podam ci coś, co uśmierzy twój ból.

Chłopiec skinął głową i posłusznie zamknął oczy.

- Jakiż to dzielny, grzeczny chłopiec - powiedziała Gwen.

Podeszła do stołu i zaczęła odwijać ze ściereczek butelkę z tynkturą,

a następnie butelkę whisky. William przycupnął obok na stołku i szeroko otwartymi oczami, w których widać było wielki niepokój, śledził jej każdy ruch.

- Williamie? Jest tu jakaś woda do mycia?

- Tam... - William wskazał rączką na spory cebrzyk, stojący koło kuchennego pieca. - Tato przyniósł wczoraj wodę ze źródła.

Drzwi otwarły się, wpuszczając do izby mroźne powietrze. I hrabiego. Wszedł, pochylając głowę pod niskim nadprożem. Mały William nie odrywał teraz oczu od hrabiego.

Hrabia zatrzymał się tuż za progami i odwrócił głowę w bok, jakby chciał ukryć blizny. Wyglądał tak bezradnie... Pełne ciekawości spojrzenie dziecka na pewno sprawiało mu ból. Gwen w pierwszej chwili pożałowała ostrych słów, których nie szczędziła hrabiemu. Z drugiej jednak strony doskonale zdawała sobie sprawę, że litość na nic tu się nie przyda. Im dłużej hrabia będzie się ukrywał, tym bardziej będzie się bał ludzkich spojrzeń. Dlatego trzeba go traktować jak pociągającego mężczyznę w pełni sił, a takim przecież był.

- Milordzie, proszę, niech pan zamknie drzwi. Mroźne powietrze może zaszkodzić choremu. Williamie, dorzuć, proszę, drew do ognia.

Obaj bez szemrania wykonali jej polecenia i chłopiec znów nie odrywał wzroku od hrabiego, zdejmującego swój długi płaszcz.

- Williamie - rozległ się ponownie dźwięczny głos Gwen. - Zauważyłam, że przyglądasz się bliznom pana hrabiego. Pan hrabia kilka lat temu był bardzo ciężko ranny.

- Pan naprawdę jest hrabią? - spytał William, u którego ciekawość zaczynała brać górę nad lękiem.

- Tak. Naprawdę jestem- przytaknął ponurym głosem hrabia.

- A pan... pan był ranny podczas bitwy?

- Nie. Podczas pożaru.

- Aha...

W głosie małego Williama słyhać było wielkie rozczarowanie. Gwen chwyciła za butelkę z tynkturą.

- Williamie, czy możesz podać mi jakąś łyżkę? William

natychmiast podał jej dużą drewnianą łyżkę.

- Wiesz, co teraz zrobimy? Podamy twojemu bratu lekarstwo. Teddy wypije tę tynkturę i szybko zaśnie - oznajmiła Gwen. - A ja będę potrzebowała twojej pomocy, Williamie, i pana też, panie hrabio. Przysiadła na łóżku, wsunęła rękę pod plecy chłopca i pomogła mu usiąść.

- Wypij to, kochanie, bardzo proszę. Wszystko.

Chłopiec posłusznie rozchylił wargi. Gwen wlała mu tynkturę do ust. Teddy skrzywił się, odruchowo chciał wszystko wypluć, ale zmusił się i przełknął prawie cały płyn, jaki był na łyżce. Gwen otarła mu brodę brzegiem koca i pomogła ułożyć się z powrotem na poduszkach.

- Trzeba będzie odsunąć łóżko od ściany, panie hrabio - odezwała się półgłosem. - A potem będę prosić, żeby pan trzymał Teddy'ego za ramiona. William będzie trzymać za zdrową nogę. Teddy, kochanie, to jest konieczne. Tobie nie wolno będzie się poruszyć.

Oczy chłopca, odurzonego już narkotykiem, były prawie nieprzytomne. Ale posłusznie skinął głową.

Gwen stanęła w głowach łóżka, hrabia w nogach. Gwen dała znak i razem odsunęli łóżko od ściany na wystarczającą odległość, aby mógł tam wejść mały William.

- Świetnie - powiedziała Gwen i zaczęła podwijać sobie rękawy bluzki. - A teraz, Williamie, wsuń się tu, pod ścianę i trzymaj brata za zdrową nogę. A pan, panie hrabio, proszę, niech pan stanie u wezgłowa.

Hrabia i William zajęli wyznaczone miejsca.

Hrabia wyciągnął z kieszeni małe drewniane wrzeciono i podał Teddy'emu.

- Włóż to do ust i zagryź jak najmocniej. Dał mi to doktor, który opatrywał mnie zaraz po moim wypadku.

Teddy, blady i drżący, wsunął sobie wrzeciono do ust. William, również blady jak śnieg za oknem, chwycił brata za zdrową nogę. Hrabia położył swoje duże silne dłonie na ramionach Teddy'ego, a

Gwen pochyliła się nad chłopcem i uczyniła to, co było konieczne. Ostrożnie, ale ruchem bardzo zdecydowanym zaczęła wsuwać kość na swoje miejsce.

- Krzycz, chłopcze - powiedział łagodnie hrabia. - To ci ulży, a my nikomu nie powiemy. Bóg jeden wie, ile ja krzychałem, kiedy doktorzy trudzili się nade mną, a byłem dużo starszy od ciebie.

Jego rada była nieco spóźniona, ponieważ Teddy po prostu zemdłał. Wrzeczono wysunęło się z jego ust.

- I tak jest najlepiej - mruknął hrabia.

- Teddy śpi teraz, prawda? - spytał William z wielkim niepokojem. - To dobrze, prawda?

- Naturalnie - przytaknęła Gwen, zajęta sprawdzaniem, czy kość rzeczywiście wsunęła się na właściwe miejsce. - Możesz już odejść, Williamie.

- Silny jesteś jak koń - powiedział hrabia, uśmiechając się do chłopca. - Trzymałeś tę nogę, że ani drgnęła. A ja, przyznam się, ledwo dałem sobie radę.

William uśmiechnął się nieśmiało, widać było, że jest bardzo zadowolony z pochwały. Wysunął się ze swego miejsca przy ścianie, hrabia również odszedł od łóżka chorego.

- Może napijemy się teraz herbaty? - spytał. - Macie tu chleb, chłopcze? Jestem pewien, że panna Davies zgłodniała!

- Jest zupa - powiedział cicho chłopiec, pokazując ręką garnek na piecu kuchennym. - Tato ugotował, tato umie bardzo dobrze gotować.

- No proszę... Ale może napijemy się herbaty? Potrafisz zaparzyć herbatę, Williamie?

- Ja tylko przyglądam się, jak to robi tato.

- A ja przyglądam się, jak robi to moja gospodyni! Miejmy nadzieję, Williamie, że razem jakoś z tego wybrniemy. W końcu, jeśli dziewczynki potrafią zaparzyć herbatę, to co dopiero dwóch takich mądrych dżentelmenów jak my!

Chłopiec zachichotał.

- Mój tato też potrafi. A on wcale nie jest dziewczynką!

W tym czasie Gwen skończyła oględziny nogi Teddy'ego, wyprostowała się i aż westchnęła z wielką ulgą.

- Chyba jest dobrze - oznajmiła zmęczonym, ale pełnym ulgi głosem. - Teraz odkażę ranę i opatrzę. Williamie, kochanie, możesz dać mi jakąś czystą ściereczkę?

Chłopiec podskoczył do szafy, Gwen sięgnęła po whisky. Kiedy zajęta była raną, usłyszała, jak hrabia nalewa wody, chyba do czajnika, a potem jego cichy głos:

- O, widzę, że ktoś tu szykuje się już do świąt.

- To Teddy i ja. Co roku chodzimy do lasu i przynosimy gałęzie ostrokrzewu i jemiołę. A tato gotuje. Tato miał dziś... - głos chłopca zadrżał, ale mówił dalej. - Tato miał dziś gotować pudding, ale wtedy Teddy upadł i złamał sobie tę nogę i...

- Nie martw się, Williamie. Będziecie mieli pudding na święta. Obiecuję. A powiedz mi, jakież to podarek dostałeś w zeszłym roku na Gwiazdkę?

- Pomarańczę!

- Naprawdę? Całą pomarańczę tylko dla siebie?

- Tak! Mogłem zjeść ją całą! A czy pan kiedyś jadł już pomarańczę?

- Czekaj, niech pomyślę... Może kiedyś, raz czy dwa razy.

- A jaki pan dostał podarek w zeszłym roku?

- Cii... Williamie, myślę, że bądźmy już cicho, bo przeszkadzamy pannie Davies. Panna Davies musi się teraz skupić. A Teddy powinien jeszcze trochę pospać.

Gwen właśnie skończyła bandażowanie nogi chłopca. I na tym jej rola się skończyła. Teraz pozostało tylko czekanie na doktora, który powie, czy rzeczywiście Gwen wykonała wszystko prawidłowo.

Wyprostowała się. Krzyż bolał, kark też, a przede wszystkim nogi, ale to zapewne od konnej jazdy. Odwróciła się i ku swemu zaskoczeniu zauważyła, że ze stołu znikły brudne naczynia, zamiast tego pojawił się brązowy czajnik i białe fajansowe kubki. Za stołem siedzieli William i hrabia, zajęty krajaniem ciemnego chleba na grube pajdy.

- Kiedy przyjedzie ten doktor? - spytała. Hrabia odłożył nóż i wstał. Podeszedł do okienka obok drzwi, otworzył je i wyjrzał na świat.

- Nie sądzę, żeby doktor dał radę przyjechać tu jeszcze dziś. Śnieg pada bez przerwy, jesteśmy po prostu zakopani.

Gwen, pełna niepokoju, podbiegła do okienka. Przed domem leżało śniegu już chyba na trzy stopy i znów zerwała się wichura.

- Jak z chłopcem? - spytał cicho hrabia.

- Widziałam gorsze złamania. Wiele razy składałam sama kości, kiedy doktorzy byli zajęci najgorszymi ranami. Ale jak jest teraz... Nie, tego do końca nie wiem.

- Kiedy patrzyłem na panią, panno Davies, sprawiała pani wrażenie osoby, która wie, co robi. I robi to o wiele lepiej niż niejeden doktor.

- Ale ja nie jestem doktorem.

- A powinna pani być - powiedział o ton głośniejsze hrabia.

Zamknął okienko i lekko powłóczęc chorą nogą, wrócił do stołu. Usiadł i ukroił jeszcze jedną grubą pajdę dla Williama.

Jak często Gwen - i wiele zresztą innych sióstr - uzmysławiała sobie, że potrafi lepiej leczyć rany niż niektórzy doktorzy, przysłani do oddziału? Zdarzało się to bardzo często, a kiedy raz nieopatrznie wspomniała o tym doktorowi, spojrzął na nią tak, jakby usłyszał największą herezję i skazał ją na mycie basenów przez cały tydzień.

Zasiadła za stołem i obu, hrabiego i Williama, obdarowała promiennym uśmiechem.

- A teraz się przekonamy, czy dżentelmeni potrafią zaparzyć dobrą herbatę.

Okazało się, że dżentelmeni stanęli na wysokości zadania. Uracono się nie tylko herbatą, ale i zupą, nagotowaną przez Billa. I gdyby nie niepokój o stan Teddy'ego, czas upływałby bardzo przyjemnie. Mały William był bardzo podekscytowany gośćmi, tym bardziej że jeden z gości okazał się prawdziwym hrabią. Chłopiec zarzucił hrabiego mnóstwem pytań, z których wynikało, że zdaniem ośmiolatka arystokracji na co dzień chadzają w pełnej zbroi, a

podstawowym ich zajęciem jest śpieszyć na ratunek damom w opałach lub na polowanie z sokołami. Wytłumaczenie chłopcu, że prawda wygląda nieco inaczej, kosztowało hrabiego niemało wysiłku, kiedy nieopatrznie zdradził, że sam posiada zbroję, kilka mieczy i tarcz, a nawet maczugę.

Podczas odpowiadania na liczne pytania chłopca hrabia wykazywał się anielską cierpliwością, a kiedy rozmowa zeszła na słynne zwycięstwa Walińczyków w średniowieczu, był wyraźnie w swoim żywiole. Opowiadał żywo, barwnie i z wielką znajomością rzeczy.

- Kiedy pan opowiada o tym, milordzie, wydaje się, jakby pan sam uczestniczył w tych wielkich wydarzeniach - stwierdziła zachwycona Gwen. - Prawda, Williamie?

- Tak. I ja też chciałbym tam być! - wykrzyknął chłopiec. Zeskoczył z ławki, uniósł w górę wyimaginowany miecz i zadał nim cios.

- Prawdziwe wojny to nic dobrego, Williamie - odezwał się z powagą hrabia. - Zapytaj o to pannę Davies.

Chłopiec znieruchomiał.

- Ale przecież... przecież dziewczynki nie idą na wojnę!

- Ale dziewczynki, to znaczy dorosłe kobiety, opiekują się rannymi i to jest bardzo trudne zadanie - powiedział hrabia, podnosząc się z krzesła. - A teraz, młody człowieku, może pójdziemy razem do koni, napijemy je i damy im obroku?

Chłopiec skwapliwie skinął głową.

- Ubierz się, chłopcze, ciepło, nie zapomnij o rękawiczkach.

William pędem pobiegł ubrać się. Gwen podniosła się z krzesła i podeszła do Teddy'ego. Chłopiec czoło miał nadal rozpalone, policzki pokrywał krwisty rumieniec.

Za sobą usłyszała cichy głos hrabiego.

- Lepiej?

- Jeszcze za wcześnie na poprawę - powiedziała, próbując pocieszyć i jego, i siebie.

- Już! - zawołał William. - Jestem gotowy!

- Świetnie - powiedział hrabia, ruszając po swój długi płaszcz. - Pamiętaj jednak, Williamie, że teraz trzeba zachowywać się w domu bardzo cicho. Jeśli obudzimy twojego brata, panna Davies będzie bardzo niezadowolona!

Razem ze swym małym towarzyszem wyszedł na dwór, a Gwen zaczęła szybko sprzątać ze stołu i zajęła się zmywaniem. Garnek z zupą zostawiła na kuchni, żeby była ciepła, na wypadek, gdyby Teddy się obudził. Hrabia i William nie zabawili długo w stajni. Kiedy znów pojawili się w drzwiach, Gwen zauważyła, że hrabia utyka jakby bardziej, a William dosłownie pada z nóg.

- Milordzie, może położy się pan i odpocznie

- zaproponowała hrabiemu, który strząsnąwszy śnieg ze swego płaszcza, zabrał się za otrzepywanie okrycia chłopca. - Williamie, ty stanowczo musisz się chociaż chwilę zdrzemnąć.

- Ale ja nie chcę spać! - zaprotestował chłopiec. - Pan hrabia obiecał, że zagra ze mną w warcaby!

- Naturalnie, że zagram - przytaknął zgodnie hrabia. - Ale później. Teraz pora do łóżka. Mieliście ciężką noc razem z Teddym. I napracowałeś się, Williamie, bo bardzo dzielnie pomagałeś pannie Davies i mnie.

- Pan też powinien odpocząć, milordzie - włączyła się kategorycznym tonem Gwen.

- Pani również, panno Davies.

- Ja przywykłam do bezsennych nocy, kiedy opiekowałam się chorymi. A pan nie.

- A ja przywykłem do długiej jazdy konno, a pani nie. Obiecuję, że obudzę panią, kiedy tylko chłopiec zacznie się ruszać.

- Prześpię się później - powiedziała, biorąc się pod boki. - Teraz dżentelmeni idą spać.

Hrabia rzucił jej spojrzenie bardzo mroczne.

- Panna Davies chyba nie żartuje - mruknął do Williama. - Powiedz no mi, przyjacielu, gdzie jest twoje łóżko?

- Na stryszku.

Hrabia zasępił się i Gwen natychmiast domyśliła się, że

wspinaczka po drabinie stanowić będzie dla niego kłopot nie lada.

Podeszła do alkowy i odsunęła zasłonę. Stało tu żelazne łóżko i mała umywalka, czyli zapewne była to sypialnia ojca rodziny.

- A może tutaj? - spytała. - Gdybym was potrzebowała, obaj będziecie w zasięgu ręki.

William spojrział w górę, na hrabiego. Hrabia spojrział w dół, na Williama.

- Myślę, że panna Davies zdecydowała już za nas. Jak sądzisz, Williamie?

William w odpowiedzi ziewnął szeroko, po czym skwapliwie skinął głową.

Hrabia podszedł do Gwen i szepnął:

- Kładę się tylko na chwilę. Potem pani się położy.

Gwen nie chciała dyskutować. Skinęła więc głową, jakby zgadzała się na wszystko.

- A mój tato zawsze mi śpiewa, kiedy zasypiam. Pan też mi zaśpiewa? - spytał sennym głosem chłopiec, kiedy hrabia eskortował go za zasłonę do alkowy. - Ja lubię „Przystrójcie swoje domy”, bo to walijska kolęda, a ja jestem Walijszykiem.

- Ale ja od dawna nie śpiewam, Williamie. Może panna Davies...

- Nie. Przecież to tato mi śpiewa. Proszę tylko o jedną kolędę.

Hrabia westchnął głęboko.

- Dobrze. Ale tylko jedną.

Gwen słyszała, jak skrzypnęło łóżko. Czyli mały William położył się.

- Proszę, niech pan siądzie tu przy mnie. Łóżko skrzypnęło jeszcze raz, o wiele głośniejszym, znak, że siadła na nim osoba o wiele cięższa.

- Pozwolisz, Williamie, że położę sobie nogę.

- Tak, tak, pozwolę. A teraz niech pan zaśpiewa. „Przystrójcie swoje domy”, a potem „Przez całą noc”. To są moje ulubione kolędy.

- Mówiłeś, że tylko jedną.

- Ale ta kolęda „Przez całą noc” jest też walijska. A pan też jest Walijszykiem, prawda?

- Tak.
- To proszę o obie kolędy.

Gwen zajrzała do Teddy'ego, potem kończyła zmywanie, słuchając pilnie, co dzieje się za zasłoną. Bardzo była ciekawa, czy hrabia spełni prośbę chłopca i zaśpiewa obie kolędy. Gwen bardzo by chciała usłyszeć „Przez całą noc”. Kochała tę kolędę. Kiedy była na Krymie, kilku żołnierzy walijskich śpiewało ją podczas Wigilii, a Gwen wspominała sobie wtedy swoje święta w Anglii. Przecież nawet biedna sierota może mieć miłe wspomnienia o tym, jak obdarowano ją jabłkiem czy wełnianymi pończochami.

Hrabia zaczął śpiewać „Przystrójcie swoje domy”. Wspaniałym barytonem, do którego wkrótce dołączył nieco drżący chłopięcy sopran. Po pierwszej kolędzie nastąpiła druga, hrabia śpiewał ją cicho, jak kołysankę. William wtórował tylko przez chwilę, potem śpiewał już tylko hrabia, coraz ciszej, ostatnie słowa wyśpiewał prawie szeptem.

Zapadła cisza. Gwen na palcach podeszła do alkowy i zajrzała za zasłonę. Jej podejrzenia okazały się słuszne. Hrabia siedział na kołdrze, oparty o wezglowie łóżka. Oczy miał zamknięte, jego pierś unosiła się miarowo. Hrabia spał. Spał też mały William, przytulony do jego boku.

We śnie surowe rysy hrabiego złagodniały, teraz bardzo przypominał młodego, pięknego mężczyznę na portrecie. Z taką twarzą i wspaniałym ciałem musiał mieć wielkie powodzenie u dam. Ale teraz też był bardzo pociągający. I to nie z powodu pięknej twarzy czy ciała. Miał złote serce. Gdyby ludzie mogli zobaczyć, jak czule zajmował się małym Williamem! Zrozumieliby, że jego napastliwość wobec innych wynika tylko z jego ułomności. A każda kobieta, która teraz by go ujrzała, zapragnęłyby pochylić się nad nim, odsunąć mu z czoła ciemny pukiel i złożyć na tym czole pocałunek...

Każda kobieta?

Skarciła siebie w duchu i opuściła zasłonę. Niezależnie od swoich bliźni hrabia jest bogatym arystokratą, a ona córką nędzarzy, teraz przełożoną w sierocińcu. Wyobrażanie sobie, że w tej konfiguracji

mogłyby zająć jakiejś zmiany, jest po prostu czymś bardzo niemądrym.

Ale jakże trudno oprzeć się temu marzeniu...

Głośnie szuranie nogami zaskoczyło i przestraszyło Gwen.

Odwróciła się i zobaczyła, jak zaspany hrabia wynurza się z alkowy. Spał prawie cztery godziny, ona czuwała przy Teddym, który dwukrotnie krzyczał w malignie i rzucał się na łóżku, czym wzbudził w niej największy niepokój.

Hrabia spojrzał w okno.

- Nadal sypie?
- Niestety.

Westchnęła i potarła ręką kark. Czuwanie przy łóżku chorego nie było dla niej czymś nowym, ale zważywszy, że poprzednią noc miała bezsenność...

Nagle zamarła, czując na swych ramionach ciepłe dłonie. Zanim zdążyła zaprotestować, mocne, zręczne palce zaczęły delikatnie ugniatać jej kark i ramiona, usuwając z nich całe napięcie.

Tak. Powinna stanowczo zaprotestować, zmusić go, aby tego zaprzestał, ale... ale to było takie przyjemne...

- Co z chłopcem? - spytał półgłosem.
- Nadal gorączkuje.
- Proszę dać mu tyle tynktury, ile trzeba. Nie oszczędzać. Ja już jej nie potrzebuję. Miała pomóc mi na bezsenność, ale... nie pomaga.
- Ma pan złe sny? To zrozumiałe po tak strasznych przeżyciach.
- Od tamtego wypadku nie przespałem dobrze ani jednej nocy. - Dłoń hrabiego znieruchomiła na moment. - Dziwne. Bo teraz spałem jak zabity.

Nagle poczuła, że hrabia wysuwa szpilkę z jej włosów.

- Co pan robić? Panie hrabio!
- Włosy upięte są zbyt ciasno, na pewno jest pani z tym niewygodnie - powiedział i zabrał się do wyciągania dalszych szpilek.

- Proszę przestać! Będę miała rozpuszczone włosy!
- I to jest cel moich poczynań, panno Davies. Pani włosy są

bardzo piękne.

- Nieprawda! Są bardzo... zwyczajne! Wstała i zwróciła się do niego twarzą. Jej gniew miał przytłumić konsternację. Ileż to razy marzyła, że ma włosy jasnozłociste jak dojrzałe kłosa pszenicy albo czarne jak skrzydła kruka! Niestety, one kolorem przypominały sierść myszy i żadne pochlebstwa nie mogły tego faktu zmienić.

- Wcale nie są zwyczajne, panno Davies. Są wspaniałe, a kiedy jeszcze nieposkromiony duch daje znać o sobie i pani zielone oczy są pełne blasku, mogłaby pani rywalizować z największymi londyńskimi pięknościami.

- Pan mi pochlebia, panie hrabio.

- Nie. Mówię to, co myślę, bez żadnych ukrytych zamiarów. Przypuszczam, że pani nie słyszała zbyt wielu komplementów na temat swojej urody.

- Nie, nie słyszałam.

- A powinna pani.

Gwen, oblana szkarłatnym rumieńcem, zdołała tylko wybąkać:

- Proszę mi oddać szpilki...

Uśmiechnął się i wyciągnął otwartą dłoń, na której leżało kilka szpilek.

- Proszę je sobie wziąć.

- Głupie żarty... - sarknęła i wyciągnęła rękę. Kiedy dotknęła szpilek, hrabia chwycił nagle jej dłoń, podniósł do ust i złożył na niej pocałunek.

- Uważam, że pani jest kobietą bardzo powabną, panno Davies.

Powinna cofnąć rękę. Nie pozwalać sobie na takie poufałości. Kto zaręczy, że hrabia nie posunie się dalej? Kto zaręczy, że... że ona nie posunie się dalej? Przecież w jej głowie kłębią się myśli tak bardzo niestosowne!

Nagle od strony kuchennego pieca dobiegł cichy, słaby głos:

- Czy to już Boże Narodzenie? A może święta już były?

Gwen, chyba bardziej zdenerwowana niż w najtrudniejszych sytuacjach na Krymie, błyskawicznie zebrała włosy w węzeł nad karkiem, wsunęła weń szpilki i pośpieszyła do Teddy'ego.

Mętne spojrzenie, także słaby głos świadczyły, że tynktura z opium nie przestała działać. Ale nie działała już tak mocno, ponieważ twarz chłopca naznaczona była bólem.

- Nie denerwuj się, kochanie. Na święta trzeba jeszcze trochę poczekać.

Teddy próbował usiąść.

- Gdzie tato?

- Leż spokojnie, kochanie - poprosiła Gwen, delikatnie zmuszając go, żeby znowu się położył.

- Twojego ojca jeszcze nie ma, na dworze jest okropna śnieżycą. Postaraj się teraz zasnąć. Kiedy twój tato wróci, obudzę cię. Obiecuję ci to. Śpij, kochanie...

Wzrok Teddy'ego przemknął po pokoju i zatrzymał się na twarzy hrabiego.

- Ten pan ciągle tu jest... A ja myślałem, że mi się tylko przyśnił.

Gwen natychmiast zaczęła szykować następną dawkę tynktury.

- Pan hrabia bardzo nam pomógł - powiedziała łagodnym głosem.

- Tak. Dał mi ten gruby patyk do zagryzienia.

- Tak naprawdę wcale go nie potrzebowałeś. Jesteś bardzo dzielny - powiedział hrabia, podchodząc do łóżka. - Jestem pewien, że zaimponowałeś pięknej pannie Davies swoją odwagą.

Gwen zarumieniła się, była jednak pewna, że hrabia próbuje tylko rozbawić Teddy'ego. Na bladych ustach chłopca rzeczywiście pojawił się nikły uśmiech, potem powieki opadły i zasnął.

Hrabia dorzucił kilka dREW do pieca kuchennego i oznajmił:

- Pójdę do koni, póki William jeszcze śpi. Chłopak ma serce do koni, ale mojego Walroda wolę obrządzić sam. To ostry koń, nieprzywykły do towarzystwa małych, ale bardzo dociekliwych istot.

Gwen skinęła głową, czując dziwną ulgę, że hrabia wychodzi.

Podawała Teddy'emu jeszcze trochę tynktury, posiedziała przy nim trochę, a kiedy zasnął, podeszła z powrotem do pieca kuchennego, żeby dolać wody do gotującej się zupy. Nie minęło zbyt wiele czasu, kiedy w drzwiach pojawił się hrabia. Przed progiem kilkakrotnie

przytupał nogami, żeby strząsnąć z butów śnieg, potem strzepnął płaszcz i czapkę i rozwiesił je na kołkach.

- Ja już odpocząłem - oświadczył. - Teraz kolej na panią, panno Davies. Będę czuwał przy Teddym. Jeśli coś się będzie działo, natychmiast panią obudzę.

Gwen, mimo że padała z nóg, wcale nie miała zamiaru opuszczać swego stanowiska przy łóżku chorego.

- Nie, panie hrabio. Dopóki gorączka u chłopca nie opadnie, ja i tak nie zasnę.

- Jeśli Teddy'emu się pogorszy, a pani będzie nieprzytomna ze zmęczenia, niewiele pani mu pomoże.

- Ale William wkrótce się obudzi, na pewno będzie głodny. Teddy także powinien coś zjeść. Niestety, tej zupy zostało niewiele. Ale może zrobię kielbasę na gorąco. O, tam, pod powałą wisi całe pęto.

- Ja jednak nalegam, żeby się pani położyła, zanim pani zasłabnie ze zmęczenia. A ja coś ugotuję.

- Pan? Przecież pan nie potrafi gotować. Hrabia uniósł znacząco brwi.

- A skąd pani może wiedzieć, co ja potrafię, panno Davies?

Gwen miała zamiar westchnąć, westchnienie jednak przerodziło się w szerokie ziewnięcie.

- Jest pan hrabią.

- Jestem hrabią, który nie tylko przesiaduje w swoim gabinecie i pisze książkę. Czasami idę posiedzieć sobie w kuchni i patrzę, co robi pani Jones. Wydaje mi się, że jestem w stanie ugotować coś prostego.

Hrabia, wyraźnie zniecierpliwiony, chwycił Gwen za rękę i zaczął ciągnąć w stronę alkowy.

- Proszę się nie opierać, panno Davies. Nie chcę mieć na sumieniu pani męczeńskiej śmierci!

Gwen zaparła się i próbowała oswobodzić swoje rękę.

- Tu nie może pan nikomu rozkazywać, panie hrabio! Nie jest pan u siebie, w swoim zamku!

- Ale jestem na swojej ziemi, Bill Mervyn jest jednym z moich

dzierżawców. Dlatego naprawdę proszę, niech pani się nie opiera. Chyba że pani chce, abym wziął panią na ręce i zaniósł do łóżka?

Niepojęte, ileż głupich myśli może wywołać jedno zdanie!

- Proszę mnie puścić, panie hrabio!

Nie puścił, przeciwnie, przyciągnął ją do siebie bliżej, a wyraz jego oczu był taki, że serce Gwen zaczęło bić jak oszalałe.

- A może nie puszczyć - szepnął, podnosząc do ust jej dłonie, uwięzione w jego dłoniach. - Był czas, kiedy w sali balowej, pełnej głupawych, chichoczących panien byłaby pani teraz obiektem wielkiej zazdrości. Panno Davies...! - Powoli nachylił ku niej głowę. - A co by się stało, gdyby hrabia panią... pocałował?

- Czy pan tańczy z panną Davies? - spytał nagle zaspany głos. - Czy tata już przyjechał?

Przed zasłoną stał mały William. Gwen zaśmiała się nerwowo i szybko odsunęła się do hrabiego.

- Nie, kochanie, twój tatuś jeszcze nie przyjechał, bo nadal jest zamieć. Pan hrabia właśnie...

- Usiłował przekonać pannę Davies, żeby się zdrzemnęła - wpadł jej w słowo hrabia. - Niech pani w końcu mi ulegnie, panno Davies i pozwoli, żebyśmy razem z Williamem zaparzyli herbatę, może zrobimy też... tosty. Tak na początek. I jeszcze raz obiecuję, że jeśli coś się będzie działo z Teddym, na pewno panią obudzę. A pani musi przynajmniej zdrzemnąć się chwilę, bo inaczej pani umysł zacznie szwankować.

A to, niestety, chyba już się stało, bo skąd niby ten nieustający zachwyty z powodu uwagi hrabiego, który ponoć uważa ją za kobietę powabną? Co z kolei natychmiast zrodziło natrętną i absurdalną wizję życia u boku hrabiego. Niepojęte...

- Ale przyrzeka pan, że gdyby coś się działo, natychmiast pan mnie obudzi?

Hrabia położył rękę na sercu i skłonił się przed nią tak elegancko, jakby byli w pałacu Buckingham.

- Ma pani moje słowo.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Gwen obudził szmer rozmowy, jeden głos był niski i spokojny, drugi cienki i bardzo podekscytowany. Hrabia i mały William. Uprzytomniła sobie, że jest w chacie Billa Mervyna i opiekuje się Teddym, który złamał nogę.

Teddy! Natychmiast zerwała się na równe nogi, trapiąca wielkim poczuciem winy. Bo niezależnie od tego, która jest teraz godzina, ona i tak na pewno spała za długo.

Uchyliła zasłonę i ujrzała coś, co wprawiło ją w największe zdumienie. Hrabia Griffin Rhyss, ponoć dziwak i odludek, przepasany połatany fartuchem, gorliwie coś mieszał w wielkiej misie. William siedział na stole obok misy i machał nogami. A z garnka na piecu ulatywały jakieś wspaniałe zapachy, wypełniające całą chatę.

- Dobry wieczór, panno Davies - powitał ją hrabia z uśmiechem.
- Mam nadzieję, że dobrze się pani spało?
- Tak, dziękuję. A jak czuje się Teddy? - spytała, szybkim krokiem przemierzając izbę.
- Dalej twardo śpi, jak pani widzi.

Teddy zdawał się oddychać nieco lżej, ceglasty rumieniec zbladł. Gwen położyła dłoń na jego czole. Już nie było tak rozpalone.

Nachyliła się nad chłopcem i pocałowała go w czoło, aby potwierdzić diagnozę, jaką postawiła jej ręka.

- Och, dzięki Ci, Panie Boże...- szepnęła. Wyprostowała się i promieniejąc z zadowolenia, podeszła do hrabiego i Williama.
- Gorączka opadła! - oznajmiła z radością.

Hrabia uśmiechnął się lekko. Ona też uśmiechnęła się, ale też z pewną rezerwą, za to William uśmiechnął się bardzo szeroko i wydał z siebie radosny okrzyk.

- Hurra! Teddy jest zdrowy! Natychmiast zasłonił usta ręką, w jego oczach pojawiło się przerażenie.

- Przepraszam - dobiegł spoza ręki stłumiony głos. - Wolno mówić tylko szeptem...

- Teddy jeszcze nie jest całkiem zdrowy, kochanie - powiedziała półgłosem Gwen, podchodząc do stołu. - Ale na pewno niebawem wyzdrowieje.

- Przed świętami?

- Obawiam się, że zrośnięcie się kości trwać będzie o wiele dłużej. Ale jeszcze przed Wielkanocą Teddy na pewno poczuje się o wiele lepiej. Przepraszam... - Gwen ruchem głowy wskazała na miskę. - A co to jest? Ciasto na chleb?

- Nie! My z panem hrabią robimy świąteczny pudding!

Gwen spojrzała na hrabiego, spojrzenie hrabiego było na poły nieśmiałe, na poły dumne.

- Zawsze pomagałem pani Jones w robieniu świątecznego puddingu. Chociaż ostatnio... nie...

Od strony kuchennego pieca dobiegł słaby głos.

- Jestem głodny.

- Teddy! - krzyknął William, gramoląc się ze stołu. - Robimy świąteczny pudding! Pan hrabia i ja!

Gwen, zachwycona następną oznaką poprawy stanu zdrowia Teddy'ego, pośpieszyła do łóżka chorego. A hrabia zaproponował:

- Dam mu trochę mięsa.

Czyli stąd brał się ten kuszący zapach, wypełniający całą izbę. Jeśli mięso, przyrządzone przez hrabiego, będzie w tym samym stopniu smakowite, co zapach, znaczy to, że hrabia wiele się nauczył, przyglądając się w kuchni krzątaniu pani Jones.

Mały William dopadł do łóżka chorego brata.

- Teddy! Ty wiesz? Pan hrabia dodaje do puddingu o wiele więcej orzechów niż tata! I dodaje jeszcze coś, co przywiózł z zamku. Whis... whisky, albo coś takiego. To będzie najlepszy pudding, jaki kiedykolwiek żeśmy jedli!

- Panie hrabio... - Gwen podsunęła się bliżej do hrabiego, który wyjmował właśnie z garnka duży kawałek duszonego mięsa - Czy to przypadkiem nie jest duszone w whisky?

Hrabia wzruszył tylko ramionami.

- Nie było brandy, to co miałem zrobić? Nagle Teddy krzyknął cicho z bólu. Gwen odwróciła się w chwili, gdy William sadził się w nogach łóżka.

- Williamie, bardzo proszę, nie siadaj tam! Teraz nogi Teddy'ego nawet nie wolno dotknąć!

William, przestraszony i skruszony, ostrożnie wstał z łóżka.

- Świetnie, kochanie - pochwaliła go Gwen. - A teraz przynieś poduszki z łóżka twojego taty, trzeba Teddy'ego wysoko usadzić do jedzenia.

William w te pędy pobiegł do alkowy po poduszki z łóżka ojca.

Hrabia postawił na stole drewnianą miskę, do której włożył mięso i kiedy William wrócił z poduszkami, pomógł Gwen oprzeć Teddy'ego o poduszki. Potem podał miskę z mięsem Gwen, a sam rozłożył Teddy'emu pod brodą ściereczkę.

- Ale ja... ja przecież mogę sam jeść - bąknął zaczerwieniony Teddy.

- Po tym lekarstwie, które podała ci panna Davies, na pewno będą ci się trochę trzęsły ręce, a mięso jest gorące - powiedział hrabia. - Żaden mężczyzna nie lubi, żeby traktować go jak dzidziusia, ale żaden mężczyzna nie lubi też, kiedy jedzenie kapie mu po brodzie. A mężczyzna, który stoi przed tobą, nie chce, żeby jego wysiłki kulinarne poszły na marne.

Teddy zaczerwienił się jeszcze bardziej.

- Mnie osobiście byłoby bardzo przyjemnie, gdyby karmiła mnie taka miła, ładna pani - dokończył hrabia i kolor policzków Gwen dorównał czerwieni na obliczu Teddy'ego. W ciągu ostatnich dwóch dni nasłuchiwała się więcej komplementów niż w całym swoim życiu. I pomyślała sobie melancholijnie - cóż w tym dziwnego, że ładne dziewczęta są próżne? Skoro często słuchają takich komplementów. Hrabiemu zapewne niejedna dama prawiała słodkie słówka, dlatego tym trudniej pogodzić mu się z obecną sytuacją. Gwen zapewne czułaby się podobnie, gdyby nagle okazało się, że nie może dłużej opiekować się dziećmi.

- Co to znaczy te ku... kulinarne wysiłki? - spytał William.

- Moje gotowanie, drogi Williamie Mervynie - wyjaśnił hrabia. - I mam dla ciebie dobrą wiadomość. Pudding jest już prawie gotowy, a ja wcale nie zapomniałem, że mamy zagrać w warcaby. Wyciągaj grę, zaraz zaczynamy.

- Ja dobrze gram w warcaby, prawda, Teddy? - spytał William brata.

Starszy z chłopców z powagą skinął głową.

- A mnie żaden przeciwnik nie straszny! - wykrzyknął hrabia, wymachując drewnianą chochlą jak rapierem. - Drżyj, młody Mervynie, bo mogę cię pokonać i będę się tym chełpił do końca moich dni!

Teddy uśmiechnął się szeroko, a William zachichotał, Gwen też musiała się uśmiechnąć. Spoglądając teraz na hrabiego, aż nie chciało się wierzyć, że to pan na zamku i par, uprawniony do zasiadania w Izbie Lordów. Było tak miło i wesoło, prawie rodzinnie, jakby ta skromna chata była ich domem. Jakby mieszkali tu razem i razem spędzali dni i noce...

- Dobrze. Zaśpiewam jeszcze jedną, ale na tym koniec!

Głos hrabiego, dobiegający ze stryszku, gdzie ulokował się razem z Williamem, zabrzmiał bardzo stanowczo. Jak poprzednim razem, kiedy opierał się przed zaśpiewaniem drugiej kolędy, którą i tak w końcu zaśpiewał. Teraz też uległ prośbie Williama, wypowiedzianej bardzo sennym głosem i cichym barytonem zanucił „Przystrójcie wasze domy”.

Teddy zasnął zaraz po zjedzeniu swego mięsa. Czuł się o wiele lepiej, kryzys minął. Spał spokojnie, ale Gwen i tak modliła się w duchu, żeby doktor przyjechał jak najprędzej.

Piękny, niski głos hrabiego ucichł. Gwen wytarła ręce w fartuch, ten sam połatany fartuch, który przedtem miał na sobie hrabia, i patrzyła, jak ów hrabia powoli schodzi po drabinie.

- To kolano ciągle panu dokucza? - spytała, kiedy stanął już na podłodze.

- Trochę - przyznał, unikając jej spojrzenia.

- Pan bardzo pięknie śpiewa.
- Och, mój głos zardzewiał. Bardzo dawno nie śpiewałem. Utykając mocno, podszedł do okna i przetarł zamarznąłą szybę.
- Nie do wiary! Śnieg przestał padać. Jeśli niebo nadal będzie czyste, doktor i Bill będą mogli tu przyjechać z samego rana.

Gwen podeszła również do okna i wspięła się na palce, żeby spojrzeć przez przetarte na szybie miejsce. Rzeczywiście, śnieg już nie padał. Chmury znikły, czarne aksamitne niebo poznaczone było migoczącymi światełkami gwiazd. Na wschodzie ukazał się wspaniały, okrągły księżyc, rzucający srebrzystą poświatę na pokrytą śniegiem ziemię.

Gwen z zachwytu aż westchnęła.

- Nareszcie... A panu zapewne śpieszno do swego zamku.

Hrabia spojrzał na nią przelotnie.

- Tak samo, jak pani śpieszno z powrotem do swego sierocińca.
- Mam wiele do zrobienia przed świętami, milordzie.

Hrabia odwrócił się ku niej, jego słowa zabrzmiały niemal zapalczywie, co zdumiało Gwen.

- Czy pani nie mogłaby w końcu poniechać tego tytułu? Mam na imię Griffin!

- Ależ milordzie! Zwracanie się do pana po imieniu byłoby z mojej strony największą zuchwałością.

- Zuchwałością? - Hrabia uśmiechnął się. - Zuchwałością było wtargnięcie do mojego gabinetu, a przed tym się pani nie zawahała. Proszę nazywać mnie Griffinem, przynajmniej dopóki jesteśmy tutaj. Tak niewiele osób mówi do mnie po imieniu. Niech pani potraktuje to jako prezent gwiazdkowy dla mnie!

Takiej prośbie nie można było odmówić.

- W takim razie do mnie też proszę zwracać się po imieniu.
- Dziękuję... Gwen.

Jej własne imię jeszcze nigdy nie zadźwięczało w jej uszach tak słodko.

Hrabia znów spojrzał w okno.

- Piękna noc... Zapewne podczas takiej nocy anioł przyszedł do

pasterzy. Zimnej, jasnej, z czystym niebem usianym diamentkami gwiazd. Wśród nich ta jedna gwiazda, największa, najjaśniejsza, która oświetliła drogę do Betlejem, poprowadziła tam ludzi mądrych i dobrych.

Gwen nie odezwała się, tylko wolnym krokiem podeszła do kuchennego pieca, pragnąc choć minimalnie zwiększyć odległość, dzielącą ją od arystokraty, którego głos i obecność rzucały na nią niebezpieczny urok. I budziły tyle pragnień, tyle niemądrej, szalonej nadziei na coś, co przecież stać się nie mogło...

Hrabia usiadł na krześle przy kominku. Chorą nogę wyciągnął przed siebie, uśmiechnął się melancholijnie i dalej prawił:

- A wszystko przez tę zamieć! Uniemożliwiła pani powrót do domu, potem pogoda poprawiła się na tyle, że mogliśmy przyjechać tutaj i pomóc Teddy'emu. Potem znów pogorszyła się, dlatego musieliśmy tu zostać. Można pomyśleć, że matka natura chciała z nami poigrać albo umyśliła sobie, żeby na jakiś czas zamknąć nas pod jednym dachem... Gwen, jak pani sądzi, czy Teddy zawsze już będzie miał kłopot z tą nogą?

- Nie wiem - wyznała szczerze, zadowolona, że hrabia odstąpił od melancholijnych releksji, które wprawiały ją w wielkie zażenowanie.

- Miał wielkie szczęście, że pani potrafiła mu pomóc.

- Przede wszystkim ma dzielnego ojca, który nie bał się wyjść z domu w taką zamieć. Gdyby zwlekał z tym...

- Pani, zdaje się, ma wiele sympatii do Billa Mervyna. Może powinna pani zagiąć na niego parol?

A to już na pewno nie było coś, co miała ochotę usłyszeć, zwłaszcza z ust hrabiego.

- Ja nie szukam męża.

- Pojmuję. I na pewno nie męża z dwójką dzieci.

- Nie o to chodzi. W ogóle nie szukam.

- Nie chce pani wyjść za mąż? Odmówi pani każdemu mężczyźnie, który będzie prosił panią o rękę?

Gwen, całkowicie zbита z tropu, złożyła splecione dłonie na

podołku, popatrzyła na nie przez chwilę, po czym wyznała:

- Nikt jeszcze mnie o to nie prosił.

Hrabia zdawał się być wstrząśnięty jej wyznaniem.

- Co? Nikt, w ogóle? Nie wierzę. Słyszałem, że niejeden ranny weteran wojny krymskiej podkochał się w swojej pielęgniarce.

- Owszem, zdarzało się tak. Ale nie mnie. Hrabia oparł się wygodniej w krześle i chwilę się zastanowił.

- Spowodowane jest to zapewne tą aurą wokół pani, tą pewnością siebie i chęcią niesienia innym pomocy. A większość mężczyzn wcale tego u kobiety nie pragnie. Chce, aby ich wybranka potrzebowała ich, chcą jej pomagać i bronić jej.

- A czy to takie złe, jeśli kobieta chce pomagać innym? I to całkiem bezinteresownie? - spytała Gwen, pomna tego, co hrabia powiedział jej kiedyś w swoim gabinecie. - Wcale nie po to, żeby zaskarbić sobie czyjąś sympatię czy nawet uczucie.

Hrabia wstał, wolnym krokiem podszedł do kominka i oparłszy się o gzyms, zapatrzył się w ogień.

- Byłem głupcem, że pani to powiedziałem. Byłem zły na panią i chciałem panią zdenerwować - powiedział cichym głosem. - Proszę panią o wybaczenie.

- I udało się panu mnie zdenerwować. Bo mnie po prostu potrzebne jest uczucie, że komuś jestem potrzebna. A poza tym... chciałabym być kochaną. Czyż tego nie pragniemy wszyscy? Czy pan tego też nie pragnie?

Hrabia kopnął polano, snop iskier pofrunął do komina.

- To oczywiste... - mruknął. - Gdyby tak nie było, nie zaręczyłbym się z Letycją. Wierzyłem, że ona darzy mnie uczuciem, a nie tylko mój tytuł i pieniądze. Wiele kobiet zabiegało o mnie, a ja oświadczyłem się Letycji. Przyjęła moje oświadczyny, bo to schlebiało jej próżności. Teraz to wiem. Inni wiedzieli to wcześniej. Tamtego wieczoru wraz z kilkoma przyjaciółmi wybrałem się do gospody. Kilku z nich próbowało mi uzmysłować, jak niskimi pobudkami kieruje się Letycja. Reszta zaczęła jej bronić. Atmosfera przy naszym stole stawała się coraz bardziej gorąca, padały mocne

słowa, ktoś gestykulując, prawie brał się już do bicia. Przewrócił lampę i wybuchł pożar. W rezultacie omal nie straciłem życia z powodu kobiety, która odtrąciła mnie potem bez żadnych skrępowań.

- Ale przeżył pan, Griffinie. Miał pan wiele szczęścia.

Wreszcie uśmiechnął się.

- Nie tylko ja mam szczęście, Gwen. Gdyby mnie zabrakło, nie dotarłaby pani do Teddy'ego i kto wie, co stałoby się z chłopcem. A poza tym pani nie miałaby dobroczyńcy dla tych swoich sierotek.

- Będę panu głęboko wdzięczna za pańską hojność. A moi wychowankowie...

- ... mają najbardziej oddaną orędowniczkę! Chciałbym też mieć taką. Żeby rzuciła prawdę w twarz moim rzekomym przyjaciołom.

- To nie byli pańscy przyjaciele, skoro pana opuścili.

- Przecież wiem - rzucił szorstko i znów zapatrzył się w ogień. - Przyjaciele... Zjeżdżali tłumnie na wydawane przeze mnie przyjęcia, różne uroczystości i wieczory muzyczne, byli zachwyceni podarkami ode mnie, ale kiedy najbardziej ich potrzebowałem, nie było ich przy mnie.

- Nikogo przy panu nie było?

- Tylko ksiązę Barroughby przyjechał do mnie, ale ja nie chciałem się z nim widzieć. Byłem pełen goryczy, bo to ksiązę przez nieostrożność wzniecił pożar. Ale potem, kiedy to sobie wszystko przemyślałem, doszedłem do wniosku, że zrobiłem dobrze. Bo ksiązę tak naprawdę wcale nie pragnął spotkania ze mną, jestem tego pewien. A teraz jestem sam, mam przy sobie tylko służbę.

- Ale wcale tak nie musi być. Teddy i William zaakceptowali pana takim, jakim jest, Griffinie. Inni ludzi na pewno uczynią to samo.

Hrabia przez dłuższą chwilę wpatrywał się w nią w milczeniu.

- Sądzi pani, że świat byłby w stanie spojrzeć na mnie jak na człowieka, a nie jak na pokryte bliznami monstrum?

- Naturalnie. Bo ja widzę przed sobą zdrowego, pełnego sił witalnych mężczyznę, który ma przed sobą wiele lat życia.

Uśmiechnął się, wyciągnął rękę i delikatnie pogłaskał ją po policzku.

Pogłaskał ją... A ona nagle tak bardzo zapragnęła ucałować tę dużą, silną dłoń...

- Pani jest nadzwyczajna, Gwen. Wyobrażam sobie, jaką jest pani wspaniałą opiekunką. Pani podopieczni na pewno bardzo panią kochają. Pani będzie wspaniałą matką i wspaniałą żoną.

Nie zdawał sobie sprawy, jak rani ją tymi słowami. Kłął w samo serce. Przecież on nigdy nie zapragnie, żeby została jego żoną...

- Ja z pewnością nie wyjdę za mąż, a dzieci, dla których jestem matką, mam już mnóstwo.

- Dlaczego nie miałyby pani wyjść za mąż? Może kiedyś jednak zakocha się w pani jakiś młody kaznodzieja albo szarmancki, elokwentny nauczyciel?

- Nie sądzę, żeby którakolwiek z pańskich przepowiedni się spełniła, Griffinie. Nie jestem już ani wystarczająco młoda, ani wystarczająco ładna. Poza tym przeszkodą jest mój mało kobiecy charakter. Jestem zawzięta i uparta, te cechy pomogły mi w zdobyciu wykształcenia, potem stałego, dobrego zajęcia w Sierocińcu Świętej Brygidy. Nie są to jednak cechy, których mężczyźni szukają w kandydatkach na żony.

- Nieprawda - rzucił hrabia i zaczął bawić się jedną z zielonych gałązek, którymi ustrojony był gzymś kominka. - Przecież mężczyzna też może podziwiać i szanować te cechy w kobiecie, jeśli ujawniają się one podczas dążenia do jakiegoś wartościowego celu. Poza tym sądzę, że pani ma wiele do zaoferowania mężczyźnie, który zdobędzie pani serce...

Nagle zauważyła, że gałązka, którą bawił się hrabia, to jemiola. Teraz tę gałązkę hrabia trzymał nad jej głową i uśmiechał się.

- Jeśli pani rzeczywiście uważa, że nie jestem odrażający, Gwen, proszę pozwolić mi się pocałować.

Gwen, wpatrzna w jemiolę, spłonęła rumieńcem. A w duszy pojawił się żal. Dlaczego jej serce nigdy wcześniej nie dało znać o sobie, dlaczego nie obudziło się w nim przed laty uczucie do jakiegoś

cieśli, murarza albo żołnierza piechoty?

Dopiero teraz jej serce nabrzmiewa pragnieniami i emocjami, które mogą sprowadzić tylko nieszczęście...

- Istnieje wiele powodów, dla których nie po-winam panu na to pozwolić. I nie chodzi tu wcale o pana wygląd.

- Proszę wymienić choć jeden.

- Prawie pana nie znam.

Hrabia pomachał gałązką nad jej głową.

- Pani zna mnie lepiej niż wiele innych osób.

- Pan jest hrabią, a ja córką nędzarzy.

- Jestem przede wszystkim mężczyzną, Gwen, a pani jest najbardziej interesującą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkałem. Ja od bardzo dawna nie gustuję w chichoczących damulkach o pustych głowach. A pani zaintrygowała mnie już w chwili, gdy wtargnęła do mojego gabinetu jak zwycięski generał. Jest pani szczerą i otwartą, inteligentną i zdeterminowaną. Mężczyzna, któremu okaże pani przychyłność, powinien uważać, że spotkało go wielkie szczęście.

- Proszę nie mówić takich rzeczy, milordzie.

- Ale ja mówię prawdę!

Chwycił ją mocno w pól. Gałązka jemiioły upadła na podłogę.

- Teraz pocałuję panią, Gwen.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Gwen nigdy jeszcze nikt nie całował, a teraz ponadto całował ją mężczyzna, którego uważała za niezwykle pociągającego. I wszystkie miłe uczucia, jakich nieraz doznawała w swoim życiu - zadowolenie, poczucie szczęścia czy więzi z inną osobą - były niczym w porównaniu z jej obecnymi doznaniem.

Hrabia objął ją mocno ramionami i przygarnął do swej twardej, męskiej piersi. Całował ją, najpierw delikatnie, potem coraz namiętniej, a jego ręce, tak samo jak usta, były niespożyte. Głaskały ją po plecach, po ramionach, nie wiadomo kiedy wyjęły szpilki z włosów. Włosy opadły na ramiona Gwen, a jej wargi cały czas były ulegle rozchylone, a ona cała zdawała się roztopiać jak lód w promieniach słońca...

Podczas długich nocy czuwania przy łóżku chorego lub nad snem niespokojnego dziecka, marzyła nieraz, że kiedyś znajdzie się w ramionach ukochanego mężczyzny. I nie będzie już samotna, niechciana i niekochana.

Mężczyzna, który teraz ją całował, był ucieleśnieniem jej marzeń. Jakby ożył jakiś bohaterski rycerz z dawnych wieków. Ożył dla niej. Jak w bajce.

Niestety. To, co dzieje się teraz, podobne jest do dziecięcych marzeń, jakie snuła co roku przed świętami, niezależnie od swojej sytuacji i od świąt poprzednich. Marzyła o tym, że kiedy rankiem otworzy oczy, zastanie górę podarków na świątecznym stole - będzie pieczona gęś, sos, słodczyce i pud-ding. Wiele lat minęło, zanim Gwen, po którymś z rzędu gorzkim rozczarowaniu, nauczyła się nie czekać już na nic.

Teraz też nie należy niczego się spodziewać. Oprócz jeszcze większego gorzkiego rozczarowania i złamanego serca. Byłoby śmieszne żywić nadzieję, że hrabia mógłby naprawdę pokochać

przełożoną z sierocińca w Llanwyllan.

Gwen zdecydowanym ruchem wysunęła się z ciepłych objęć hrabiego.

- Nie powinniśmy tego robić - powiedziała. Wyraz jego oczu był taki... Och, nie... Ona musiała spojrzeć w bok.

- Pan... podoba mi się, Griffinie. Pan...

Na szczęście, udało jej się powstrzymać przed zbyt szczerym wyznaniem. Przecież nawet najgorętsze uczucia nie zmienią faktu, że oni należą do dwóch różnych światów. I tak będzie zawsze.

- Pan jest bardzo miłym, hojnym człowiekiem.

- A pani zachwycającą, godną pożądania młodą kobietą!

Znów wyciągnął do niej ramiona, ona jednak odsunęła się od tej pokusy jeszcze krok dalej.

- Pan jest samotnym mężczyzną, przekonany, że żadna kobieta nie będzie go już chciała. Udowodniłam panu, jak bardzo pan się myli. A to, co pan powiedział teraz... to tylko konsekwencja tego, co stało się przed chwilą. I nic więcej.

- Pani sądzi, że to tylko wdzięczność? Och, Gwen...

Przyciągnął ją do siebie i spojrzał głęboko w oczy.

- To nie tylko wdzięczność, sympatia, pożądanie, Gwen. Ja czuję do pani o wiele więcej, niż czułem kiedyś do Letycji czy jakiegokolwiek innej kobiety. Chcę, żeby pani dzieliła ze mną życie.

Panie Boże, dopomóż! Jakże gorąco pragnęła w to uwierzyć! Uwierzyć, że on ją kocha, uwierzyć w miłość, która zatriumfuje nad każdą trudnością i co najważniejsze - różnicę w ich pozycji społecznej uczyni nieistotną!

- Samotność, a także niezwykle okoliczności sprawiają, Griffinie, że nasze uczucia wydają nam się głębsze niż są w istocie. Znałam niejednego rannego oficera, który zakochał się w swojej pielęgniarkie i dążył do ślubu. Niestety, potem do moich uszu docierały wieści, co działo się po powrocie do Anglii. Z dala od pola bitwy i szpitala małżonków nie łączyło już nic i niejeden z tych oficerów gorzko żałował swego nierozważnego kroku.

- Czyli nie kochali się naprawdę.

- Tak. A nasza sytuacja jest podobna. Pan należy do innego świata, Griffinie. Nie sądzę, żeby ta chwilowa... sympatia mogła przerodzić się w coś trwałego.

- Sympatia? Nie wierzy pani w miłość od pierwszego wejrzenia?

- Nie. Wierzę w pokusę od pierwszego wejrzenia, ale nie w miłość, która miałaby trwać całe życie.

W oczach hrabiego jakby nagle coś zgasło. Gwen poczuła ulgę, a jednocześnie żal, że jej słowa okazały się tak skuteczne.

- Stawia pani sprawę bardzo uczciwie - powiedział cicho. - Nie pozostaje mi nic innego, jak tylko zacząć myśleć podobnie jak pani... Ale proszę powiedzieć...

Jego spojrzenie wróciło do Gwen.

- Czy ja... nadal się pani podobam? Gwen w milczeniu skinęła głową.

- I ja czuję, Gwen, że pani tak samo mnie pragnie jak ja pani...

- Tak. I dlatego proszę, żeby pan nigdy już nie pozwalał sobie na takie... poufałości.

Jakże on na nią spojrzał!

- Może i nie jestem już takim dżentelmenem, jakim byłem kiedyś, panno Davies, ale nie zmieniłem się w lubieżnego ordynusa. Uszanuję pani wolę.

Odstąpił.

- Proszę, niech pani teraz się położy i wypocznie. Ja będę czuwał przy chłopcu. Jeśli będzie niespokojny, natychmiast panią obudzę.

- Dobrze, ale proszę obiecać, że obudzi mnie pan za kilka godzin. Pan też jest przecież znużony.

- Nie sądzę, żeby tej nocy udało mi się zasnąć.

Zabrzmiało to bardziej gorzko, bardziej gniewnie niż wtedy, gdy mówił o Letycji. Czy aż tak bardzo zraniły go jej słowa?

- Ależ milordzie... Griffinie...

- Niech pani idzie się położyć. I zostawi mnie samego.

Gwen stanęła przy oknie. Słońce wschodziło już, malując wąską smugę obłoków na różowo i pomarańczowo. Śnieg skrzył się w słonecznym blasku, cały świat wydawał się tak piękny, czysty, jakby

wszystko w nim zostało utworzone na nowo. Zbyt piękny, aby był realny. Tak samo jak zbyt piękne są marzenia Gwen, które zaczęła snuć w tej chacie. One nigdy się nie spełnią.

Griffin obudził ją w nocy i zmienili się przy łóżku chorego chłopca. Nie odezwał się do niej ani słowem, ona też milczała, zdając sobie doskonale sprawę, że sama spowodowała tę sytuację. Ale nie było innego wyjścia. Nie wolno było zaprzeczać realiom, łudzić się, że w życiu może być jak w bajce.

Kiedy usłyszała szmery za zasłoną, nie odwróciła głowy od okna. Griffin wyszedł z alkowy, słyszała, jak podchodzi do łóżka Teddy'ego.

- Jak on? - spytał nieswoim głosem. Wtedy odwróciła się. Twarz Griffina była ponura, rysy ściągnięte.

- Źle się pan czuje? - spytała z niepokojem, odruchowo wyciągając ku niemu rękę, żeby dotknąć czoła. Nie zdążyła, bo Griffin mocno chwycił jej dłoń. Zmarszczył groźnie brwi, jego twarz spochmurniała jeszcze bardziej.

- Niech pani nie zbliża się do mnie, panno Davies!

Niepokój ustąpił miejsca rozpacz.

- Panie hrabio, proszę... Każdy rozumny człowiek oceniłby właściwie moje słowa, które wczoraj wypowiedziałam. Ja... ja powtarzam. Nie mam nic oprócz mojej niewinności. Nie oddam jej z powodu namiętności, która może być tak przemijająca, jak śnieg na nagrzewającej się od słońca skale...

- Panno Davies! Boli - słabym głosem zawołał Teddy.

Gwen, starając się stłumić w sobie rozpacz, podeszła szybko do chłopca. Cierpiał. Jego twarz wykrzywiona była z bólu. Postawiła więc szybko kociołek z wodą na kuchni i zabrała się do przygotowywania nowej dawki tynktury, modląc się w duchu, aby doktor wreszcie przyjechał. Żeby w końcu przyjechał ktokolwiek...

- Tata! - rozległ się ze stryszku radosny okrzyk Williama. - Tata jedzie na koniu!

Chłopiec szybko zszedł po drabinie i podbiegł do drzwi, które ktoś już pchnął niecierpliwie.

- Co z Teddym? - pytał od progu Bill Mervyn. Wziął na ręce

garnącego się do niego młodszego synka, jego niespokojny wzrok utkwiony był jednak cały czas w bladej twarzy Teddy'ego.

- Lepiej, niż się spodziewałam - rzuciła szybko Gwen i Bill rozpromienił się.

- Chwała Bogu!

Tak jak stał, w kurcie i czapce, pośpieszył do łóżka przy piecu kuchennym. Postawił Williama na ziemi, przyklęknął i czule odgarnął potargane włosy z czoła synka.

Gwen kątem oka zauważyła, że Griffin nakłada swój długi płaszcz i kapelusz z bobrowego futra.

- Pójdę do konia - mruknął i wysunął się z izby.

- Nie wiem, jak pani dziękować, panno Davies - powiedział Bill. Jego przemarznięta twarz jaśniała ze szczęścia. - Doktor już tu jedzie, będzie za chwilę.

- Tata? To tata? - spytał słabym głosem Teddy.

- Tak, mój chłopcze, to ja - odparł zachrypniętym ze wzruszenia głosem Bill. Otarł ukradkiem łzę, jedną rękę położył na ramieniu Teddy'ego, drugą objął Williama.

- Jestem, synkowie kochani. I nigdzie już nie pojedę.

Gwen, patrząc na tę wzruszającą scenę, poczuła bolesne ukłucie w sercu. Nie, to nie była zazdrość, lecz tęsknota. Za czymś, czego ogromnie było jej brak, choć nie zdawała sobie z tego sprawy. Odwróciła się, nieco gwałtownie, i omal nie wpadła na Griffina, który powrócił już ze stajni. Spojrzał jej głęboko w oczy i wiedziała już, że on odczuwa dokładnie to samo.

Z podwórza dobiegł głos dzwoneczków przy saniach.

- Na pewno doktor - szepnęła Gwen.

- Tak, to on - odparł Griffin, ze wzrokiem nadal utkwionym w jej twarzy. - Widziałem, jak nadjeżdżał drogą.

Odwrócił się i ruszył ku drzwiom.

- Wracam do koni.

Wyszedł, a po chwili do izby wkraczał doktor Morgan, jowialny jegomość w średnim wieku z czarną torbą w ręku. Włosy, wąsy i bujne bokobrody doktora były białe jak bielone płótno.

- I gdzie ten kawaler, który wybrał tak niezwykłą porę na łamanie nóg? - spytał, zdejmując z siebie okrycie. - Jones omal nie dostał apopleksji, kiedy znów się rozpadało. Trzeba przyznać, że pogoda paskudna!

Gwen odebrała od doktora płaszcz i z bijącym sercem czekała na wynik oględzin.

- Kości złożone nadzwyczaj umiejętnie, panno Davies - orzekł doktor. - Sam nie zrobiłbym tego lepiej. Teraz Teddy ma leżeć spokojnie, trzeba mu zmieniać opatrunek i podawać coś na uśmierzanie bólu.

Doktor wyjął ze swej czarnej torby butelkę z miksturą i zaczął nalewać na łyżkę odpowiednią dawkę.

- Doktorze Morganie, czyli ja mogę wracać już do moich wychowanków? - spytała Gwen.

- Tak, oczywiście.

Drzwi otwały się, Griffin przystanął na chwilę przed progiem, żeby strząsnąć z butów śnieg.

- Mogę odwieźć panią moimi saniami do Llanwyllan - zaproponował doktor.

- Dziękuję, panie doktorze! To bardzo miło z pana strony.

- Skoro państwo ustalili już między sobą, ja ruszam w drogę powrotną - oznajmił hrabia. - Panno Davies! Tak jak obiecałem, otrzyma pani czek na urządzenie świąt dla dzieci. Przyślę Jonesa do sierocińca. Zegnam państwa.

Odwrócił się i wolnym krokiem ruszył w stronę stajni.

- Wesołych świąt, panie hrabio - odezwali się jednocześnie Bill, Teddy i doktor.

- Panie hrabio, i Bóg zapłać za wszystko! - dodał Bill żarliwym głosem.

- Do widzenia i wesołych świąt! - krzyknął mały William. Podbiegł do drzwi i pomachał ręką.

Tylko Gwen nie odezwała się ani słowem.

W sali jadalnej Sierocińca Świętej Brygidy panowało prawdziwe pandemonium, którym można było sterować jedynie w bardzo

ograniczony sposób. Na szczęście koniec świątecznej uczyty się zbliżał, emocje zaczynały powoli opadać i ogólne zmęczenie zaczynało już wszystkim dawać się we znaki. Gwen czuła się bardzo znużona tymi przygotowaniem w ostatniej chwili, potem budzeniem wszystkich w środku nocy, kiedy to i dzieci, i pracownicy sierocińca wyruszyli z zapalonymi świeczkami do kościoła na wspólne śpiewanie kolęd, po którym następowała specjalnie uroczysta msza, trwająca do wschodu słońca.

Hrabia nie przyszedł na mszę. Rozczarowanie Gwen było ogromne. Miała nadzieję, że hrabia wreszcie przestanie stronić od ludzi, a poza tym - i to było bardzo gorzkie - nieobecność hrabiego stanowiła potwierdzenie, że uczucia, jakie w niej obudził, były niemądre i beznadziejne, i Gwen miała rację, twierdząc, że kiedy powróci do swych domów, hrabia zacznie myśleć inaczej.

Głośny, natarczywy dźwięk przebił się przez dziecięcy gwar. Ktoś dzwonił do bramy w murze okalającym sierociniec.

- A któż to taki? - spytała niezadowolonym głosem Molly. - Nie możemy zjeść w spokoju świątecznej kolacji?

Gwen uśmiechnęła się pod nosem. Tę świąteczną kolację trudno było nazwać spokojną.

- Ja otworzę - powiedziała, wstając z krzesła. - Może ktoś potrzebuje pomocy.

Zdarzyło się przecież już nieraz, że za bramą sierocińca znajdowano nowego wychowanka. A święta Bożego Narodzenia równie łatwo jak radością mogły napełnić czyjeś serce rozpaczą...

Gwen szybkim krokiem przemierzyła brukowany dziedziniec i otworzyła małe okienko w drewnianej bramie.

Pierwsze, co zobaczyła, był to piękny, szlachetny łeb karego wierzchowca. Znajomego wierzchowca. Walroda, na grzbiecie którego mogła siedzieć tylko jedna osoba.

Hrabia Griffin. Opuścił swoją samotnię i zjechał do Llanwyllan.

Serce Gwen wypełniła przeogromna radość. Natychmiast jednak przywołała je do porządku. Niemożliwe, żeby hrabia przyjechał tu z jej powodu. Przecież do czeku - na całe sto funtów! - przywiezionego

przez pana Jonesa hrabia nie dołączył żadnego liściku. Jakby to pan Jones był Świętym Mikołajem, a nie mężczyzną, który pocałował Gwen i wyznał, że mu na niej zależy. Gwen przekazała przez pana Jonesa krótki liścik z podziękowaniami, zwróciła też aksamitną pelerynę. Słowa, które napisała, jej samej wydały się bardzo suche i oficjalne.

Hrabia przyjechał, bo zapewne chce być świadkiem wielkiej radości, jaką sprawił dzieciom. Prawdopodobnie pod wpływem argumentów Gwen zapragnął powrócić między ludzi i postanowił zacząć od wdzięcznych, rozradowanych dzieci. Dlatego trzeba go po prostu traktować jak każdego dobroczyńcę, odwiedzającego sierociniec. Niestety, niezależnie od tego postanowienia ręce Gwen, kiedy otwierała bramę, trzęsły się jak w febrze.

Hrabia, w długim płaszczu z pelerynką i kapeluszu z bobrowego futra, rzucił Gwen przeciągłe spójrzenie z wyżyn grzbietu olbrzymiego Walroda. Długie włosy miał związane z tyłu, zdeformowane ucho było zakryte, ale blizna na twarzy doskonale widoczna.

Gwen uśmiechnęła się miło, starając się ze wszystkich sił nie okazywać po sobie, jak bardzo wstrząsnęła nią ta nieoczekiwana wizyta.

- Wesółych świąt, milordzie!

Hrabia zsiadł z konia i stanął przed nią, jego twarz w przedwieczornym zmierzchu wydawała się nieprzenikniona.

- Może dla pani są wesołe, ale dla mnie to najsmutniejsze święta od czasu mojego wypadku.

Zmieszła się, nie wiedząc zupełnie, co na to powiedzieć.

- Nie zaprosi mnie pani do środka? - spytał hrabia po chwili.

- Och... Proszę wybaczyć, panie hrabio. Proszę wejść. Musi pan spotkać się z dziećmi. Tyle radości sprawił im pan swoim hojnym datkiem.

Sprawił wrażenie, jakby wcale jej nie słuchał.

- Gdzie mogę wprowadzić konia, panno Davies? Poprowadziła go do szopy, w której trzymano

trzy krowy, aby dzieci miały świeże mleko.

- Jak się pan miewa, panie hrabio? - spytała, kiedy wchodzili do środka. - Mam nadzieję, że dobrze?

- Dziękuję, dobrze - rzucił krótko, wprowadzając konia do wolnego stanowiska. - Mam nadzieję, że pani również.

Zanim zdjął siodło, otworzył sakwę i wyjął pakunek owinięty brązowym papierem.

- Nie powinna była pani odsyłać z powrotem tej peleryny! - rzucił szorstko.

Gwen szybko schowała ręce za plecami.

- Przecież nie mogłam jej zatrzymać, panie hrabio! Tak nie wypada!

Hrabia ściągnął gniewnie gęste, ciemne brwi.

- A dlaczego nie? Przyda się pani jakieś ciepłe okrycie. Powinienem był zaznaczyć, że część pieniędzy, przekazanych na sierociniec, powinna pani spożytkować na przyzwoite ubranie dla siebie.

- Ale ja nie narzekam na moje ubranie. Jest ciepłe i praktyczne. A taka peleryna jest dla mnie zbyt wytworna.

Widać było, że hrabia jest bardzo niezadowolony z jej odpowiedzi.

- Jeśli pani nie przyjmie tej peleryny, spalę ją.

- Pan straszył tym już przedtem, milordzie.

- A... Domyślam się, że rozmawiała pani z panią Jones... Jeśli pani nie chce jej nosić, niech pani ją sprzeda.

Nie była aż tak uparta, żeby dalej mu się sprzeciwiać. Skinęła głową i odebrała pakunek, starając się nie dotknąć palców hrabiego. Hrabia rozsiodłał konia. Wyszli z szopy i podążyli brukowanym dziedzińcem do budynku sierocińca.

- Bardzo mi przykro, panie hrabio, ale ja nie mam dla pana żadnego prezentu gwiazdkowego.

- To się jeszcze okaże - powiedział takim tonem, że Gwen omal nie upadła, poślizgnąwszy się na zamarzającym śniegu. Omal, bo kiedy się zachwiała, natychmiast podtrzymały ją silne ramiona.

- Ostrożnie, panno Davies. Nie chciałbym, żeby teraz pani z kolei

złamała nogę.

Spłoszona i zarumieniona, szybko oswobodziła się z jego uścisku. Kto wie, czy z któregoś okna nie podglądają ich teraz czyjeś ciekawskie oczy.

- Tak, tak, będę uważać - powiedziała, starając się, żeby jej głos zabrzmiał obojętnie i szybko ruszyła znów przed siebie. - Dzieci, kiedy zobaczą pana, będą bardzo uradowane. One wciąż pytają o pana...

- Naprawdę? A pani Jones wciąż pyta mnie o panią, zadaje pytania wszelkiego rodzaju.

Ciekawe, co też pan hrabia odpowiada pani Jones? Czy wyraża się o panie Davies pochlebnie, czy też nie zostawia na niej suchej nitki?

Weszli do budynku i Gwen poprowadziła gościa korytarzem o ścianach pobielonych wapnem, ozdobionych niestety zaciekami w miejscach, gdzie woda deszczowa lub topniejący śnieg przeciekały przez dach. Spoglądając na brzydkie plamy, Gwen pomyślała melancholijnie, że hrabia ma już okazję przekonać się, jak bardzo różnią się ich światy...

Im bliżej byli sali jadalnej, tym głośniejszy był gwar dziecięcych głosów. Człowiekowi nie nawykłemu do przebywania z dziećmi mogło się zdawać, że wychowankowe sierocińca w Llwyllan wpadli w jakiś amok.

- To jest taki radosny... hałas - wyjaśniła Gwen.

Kiedy dochodzili już do drzwi sali jadalnej, Griffin przystanął.

- Nie, tak nie może być - powiedział stanowczym głosem. - Nie będę dłużej udawał, że chcę widzieć kogoś jeszcze oprócz pani. Przynajmniej dopóki nie powiem tego, co zamierzam pani powiedzieć. Czy jest tu jakieś miejsce, gdzie moglibyśmy porozmawiać w cztery oczy?

- Nie sędzę, żeby było to stosowne, panie hrabio, ani rozsądne.

Chwycił ją za obie ręce i spojrzał głęboko w oczy. Spojrzał tak, że pojęła od razu. Jeśli teraz zlekceważy jego prośbę, jego błagalne spojrzenie prześladować ją będzie do końca życia.

- Proszę, pan pozwoli za mną. Poprowadziła go na sam koniec

korytarza, do małego pokoju służącego jej jako gabinet. W przeciwieństwie do gabinetu Griffina, w tym pokoju panował pedantyczny porządek.

Gwen stanęła za swoim biurkiem. Tam czuła się bezpiecznie.

Griffin stanął przed biurkiem, dłonie, zaciśnięte w pięści, przycisnął do boków.

- Pani miała rację. Za wcześnie, aby już teraz być pewnym siły i trwałości uczucia, jakie narodziło się między nami w chacie Mervyna. Ale to uczucie narodziło się. To, co ja czuję do pani, Gwen, to początek miłości, a może nawet już... miłość. I myślę, że tam, w chacie Mervyna, pani serce należało do mnie. Może teraz, kiedy wróciła pani do swoich wychowanków, czuje pani inaczej. Ale ja... ja nie potrafię o pani zapomnieć, Gwen. Wciąż mam nadzieję, że kiedyś zgodzi się pani dzielić ze mną życie i razem będziemy szczęśliwi. Gwen, czy pani gotowa jest dać mi... dać nam obojgu szansę?

Czyli znów było jak dawniej, kiedy podczas świąt wpatrywała się w wystawę sklepową i całym swoim dziecięcym sercem pragnęła, aby choć jedna z tych wspaniałych zabawek trafiła do niej świątecznego poranka. Teraz też były święta, teraz też pragnęła czegoś całym sercem, wiedząc, że marzenie się nie spełni. Była przecież tym, kim była - córką nędzarzy. I nigdy nie przestanie nią być.

- Pan, milordzie, jest człowiekiem bogatym, ze znakomitą pozycją, dlatego wszystko wydaje się panu możliwe. A tak nie jest. Ja nie należę do pańskiego świata, nigdy zresztą do niego należeć nie będę. Moje życie jest tutaj, wśród osieroconych dzieci, które mnie potrzebują.

Nie odrywając wzroku od jego twarzy, wyciągnęła przed siebie swoje spracowane ręce.

- Cóż z tego, że wołałabym, aby było inaczej... Ale proszę spojrzeć. To nie są ręce wytwornej damy, która byłaby godna zostać żoną hrabiego.

Hrabia obszedł biurko, stanął przed Gwen i zanim zdążyła cofnąć ręce, chwycił je, podniósł do ust i na każdej z nich złożył pocałunek.

- To są ręce kobiety, która wie, co to ciężka praca i cierpienie. Ręce kobiety, dzięki której świat staje się lepszy.

Serce Gwen tłuło się w piersi jak ptak w klatce, z tej klatki nie sposób jednak było się wydostać. Pręty były zbyt mocne, utworzone z najsurowszych konwenansów. Gwen widziała, co się dzieje z tymi, którzy próbowali je wyłamać.

- Ludzie potępiają nas, milordzie. Pana za to, że tak się zniżył, a mnie za moją zuchwałość. Powiedzą, że był pan w desperacji, a ja zapragnęłam pańskiego bogactwa.

- Och, Gwen...

Ciepłe dłonie hrabiego spoczęły na jej ramionach.

- Dlaczego mamy przejmować się ludźmi małostkowymi i ignorantami? Proszę, niech pani nie odbiera nam szansy na przekonanie się, czy uczucie, które nas łączy, jest prawdziwe i trwałe. Pani boi się świata. Ja też go się bałem, ale pani dała mi nadzieję. A teraz wiem, że mogę być o wiele bardziej szczęśliwy niż kiedykolwiek. Jeśli pani mnie pokocha. Proszę, Gwen, niech pani nie odbiera mi nadziei. Przynajmniej jeszcze nie teraz.

Było Boże Narodzenie. Gwen Davies dostała najcudowniejszy prezent, jaki mogłaby sobie wymarzyć.

- Ja też jej pragnę - szepnęła - tej nadziei. Chcę uwierzyć, że możemy być razem.

- I reszta świata nie będzie nas obchodzić? Gwen uśmiechnęła się przez łzy. Łzy szczęścia.

- Nie będzie!

Hrabia otoczył ją ramionami, pochylił głowę. Ich pocałunek był radosny, czuły. Na początku, bo bardzo szybko stawał się coraz bardziej żarliwy.

- Proszę, przestańmy... - szepnęła Gwen.

- A... pojmuje. - Hrabia uśmiechnął się i wypuścił ją ze swoich objęć. - Boi się pani skandalu w Sierocińcu Świętej Brygidy.

Skinęła głową, a potem nagle znów wtuliła się w jego szeroką pierś.

- Chyba już bardziej nie mogę być szczęśliwa...

- A ja wiem, kiedy będę jeszcze bardziej szczęśliwy - powiedział, obejmując ją mocno. - Tego dnia, kiedy zgodzi się pani zostać moją żoną.

Żoną?... W głowie Gwen znów pojawiło się tysiąc wątpliwości.

- Za wcześnie o tym mówić, milordzie.
- Ale nie wyklucza tego pani całkowicie?
- Och, nie! I jestem pewna, milordzie...
- Griffinie!
- Och, tak, Griffinie, wcale tego nie wykluczam, och nie...

Ucałowała bliznę na jego policzku, potem usta jej poszukały jego ust, ofiarowując mu słodki pocałunek, pełen tęsknoty i obietnic.

- Na litość boską! Panno Davies! Odskoczyli od siebie. W progu stała Molly, jej oczy były wielkie i okrągłe, prawie takie jak salaterka puddingu ze śliwkami, którą trzymała w ręku.

- Ja właśnie... pudding... a pani tu jest razem z... A kto to jest?

- To jest hrabia Griffin z rodu hrabiów Rhyss - wyjaśniła Gwen, wcale niespeszona, zadowolona jednak w duchu, że Molly była świadkiem pocałunku, który można było uważać za stosunkowo niewinny. - Milordzie, pan pozwoli, że przedstawię panu Molly.

Hrabia skłonił się szarmancko.

- Urocza...

Usta Molly poruszyły się, nie uleciał z nich jednak żaden dźwięk.

- Chodzi o moje blizny, tak? - spytał Griffin. - Brzydkie, ja wiem. Ale jeśli Molly będzie tak miła i zostawi nam ten pudding, zapewne znakomity, może pewnego dnia pokażę Molly blizny, jakie mam na nogach...

Salaterka z puddingiem z brzękiem opadła na podłogę. Molly z cichym okrzykiem znikła za progiem.

- Griffinie! Dlaczego pan tak wystraszył tę biedną dziewczynę! - krzyknęła z wyrzutem Gwen. Przykucnęła, żeby pozbierać skorupy salaterki i resztki puddingu, hrabia jednak na to nie pozwolił. Silne ręce zmusiły ją, żeby wstała i ponownie utonęła w jego objęciach.

- Chciałem, żeby sobie stąd poszła.
- Czyli widzę teraz, że ludzie mówili prawdę! Jest pan

człowiekiem złym i podstępny!

- Naturalnie! I pani musi dalej konsekwentnie naprawiać mój charakter, wypaczony przez samotność. Podejrzewam, że to niełatwe zadanie. Żeby mu podołać, musi pani wyjść za mnie.

Gwen wspięła się na palce i ucałowała policzek hrabiego pokryty bliznami.

- Jeśli zostanę pańską żoną, to nie po to, aby cokolwiek naprawiać! Stanie się tak, bo darzę cię miłością, Griffinie. Najgłębszą...

RS